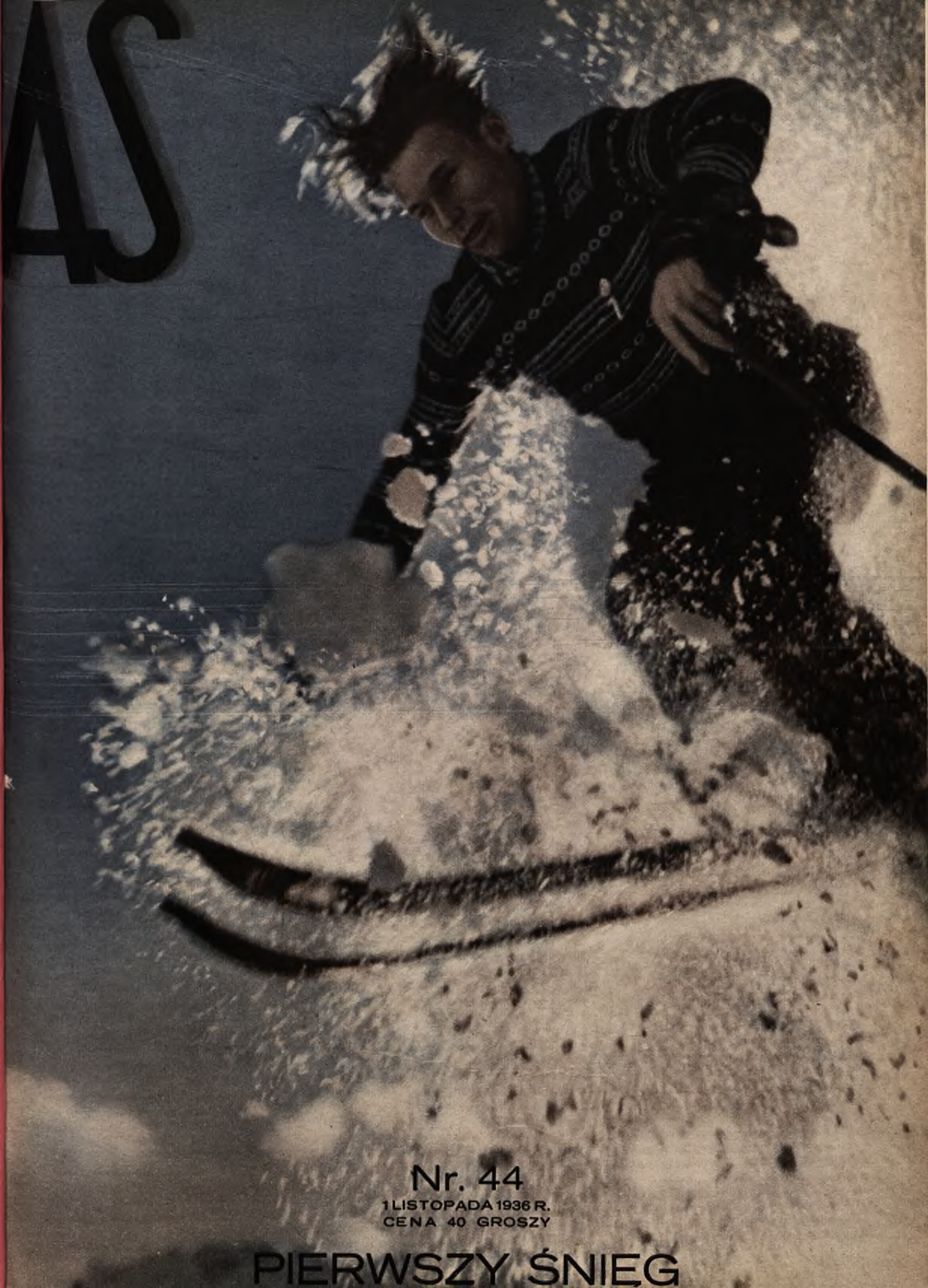

AS
Nr. 44
1 LISTOPADA 1936 R.
CENA 40 GROSZY
PIERWSZY ŚNIEG

„SWACZYNA U DOROTKI..."

W sali obitej ciemnemi kotarami, gdzie źródłem światła jest przedewszystkiem lampa z napisem „c i s z a", zasiada w kręgu magicznych przyrządów na stoliku spora gromadka dzieci. Jest ich ponad pięćdziesiąt. Mówią szeptem, jak nakazuje rygorystycznie ta dziwna lampa i tylko chwilami szmer ich dziecięcych głosików wzmaga się, gaszony przez bardziej doświadczone rączki, które przykładaniem paluszka do buzi przypominają rozświergotanej gromadzie, że tutaj mówić nie wolno

Ale za chwilę odezwą się wszystkie razem w chóralnym śpiewie, którym ta mała gromadka śląskich „Kukiełek radjowych", powita tysiące swych rówieśników, otwierających głośniki dla wysłuchania audycji „Swaczyna u Dorotki". Swaczyna — to podwieczorek. Podwieczorek, przy którym symbolicznie na — „nibyto" — zasiadają do stołu „Kukiełki śląskie", aby na falach eteru połączyć się myślą i serdecznem uczuciem z dziećmi polskiemi w kraju i zagranicą, darząc je piosenką, bajeczką, wierszykiem i pozdrowieniami.

Mali słuchacze cieszą się przy głośnikach i dają wyraz swej radości w listach. Miłych, naiwnych dziecięcych listach, pisanych wielkiemi literami przez niewprawne rączki, co to ledwo pióro czy ołówek utrzymać umieją w paluszkach.

Czasami wyręczy w tym trudzie mamusia, czy ktoś ze starszego rodzeństwa, wtedy list zawiera jeszcze więcej szczegółów, godnych uwagi.

Listy te odczytuje radjowa Ciocia Hela na takiej swaczynie u Dorotki dla wszystkich zgromadzonych w studjo katowickiem „Kukiełek", które dowiadują się z tej małej skrzyneczki listowej o troskach i radościach swych maleńkich słuchaczy. „Kukiełki" zbierają się raz na tydzień w każdą sobotę o 6-ej wiecz. Przybywają z Katowic, Sosnowca, Mysłowic, Kochłowic, Chorzowa, Chropaczowa i innych pobliskich miejscowości.

Są między niemi maleństwa 5-cio, 6-cioletnie, są dzieci starsze, które od samego początku dziecięcej skrzyneczki katowickiej uczestniczą w audycjach, prowadzonych tak od 7-miu lat. 13-letnia Czesia jest już nawet „sekretarką" Cioci Heli... Wszystkie z równem zainteresowaniem słuchają listów z tego maleńskiego światka, który z niemi koresponduje. Poznają tym sposobem życie swch rówieśników ze szkół polskich na Śląsku Opolskim i Zaolzańskim, we Francji, Austrji (Wandzia Salecka z Wiednia), czy Belgji, interesują się przeżyciami swych kolegów i koleżanek z całej Polski, produkując przytem swe młodociane talenty.





U góry: „Kukiełki śląskie" przy mikrofonie radjostacji katowickiej. — Niżej: „Ciocia Hela" z małym Rysiem, wirtuozem na harmonji i Andrzejkiem, akompanjującym na fortepianie.

6-letni Ryś Sznapka, syn bezrobotnego z Kochłowic, gra prześlicznie na ręcznej harmonji, którą mu od „Dzieciątka" przyniósł na Boże Narodzenie dobry stryjcio. Ryś ma doskonały słuch i potrafi pięknie odegrać każdą usłyszaną melodję. Nęci go też fortepian, stojący w studjo i wygrywa na nim po audycji różne piosenki, robiąc lewą rączką dużo chałasu w basach, żeby mieć akompanjament do czyściutko wygrywanych melodyj. A umie różne piosenki śląskie, które sobie cichutkim jak myszka głosikiem przytem wyśpiewuje.

Dużo piosenek i wierszyków umieją dziewczynki: Irenka o żabkach, Myszeczka o krasnoludkach, Małgosia o słonku, Nina o gwiazdach, Sonja o Wisełce, Anielcia o jabłuszkach...

Ciocia Hela w przerwach pomiędzy odczytywaniem listów wywołuje coraz inną Kukiełkę do mikrofonu. Pojedynczo lub zbiorowo. Oto przyjechały dzieci z Sierocińca w Mysłowicach. Wielka tam bieda. O pomoc trudno, a dziatwy osieroconej wiele. Przyjechała więc delegacja na „Swaczynę u Dorotki", zaapelowała do serduszek dobrych dzieci, aby pamiętały o tem, że nie wszędzie jest ciepły rodzinny dom, w którym dzieciom niczego nie brakuje, gdzie troszczy się o nie nieustannie tatuś i mamusia. Są takie, co to idą twardą drogą przez życie Trzeba im dopomódz, osłodzić smutną sierocą dolę. Tak mówi do mikrofonu Ciocia Hela, a biedne sierotki wyciągają jak najdonośniej głosiki, żeby tylko usłyszeć je mogły wszystkie dzieci przy mikrofonach...

„Jadą, jadą misie...".

Audycja jest krótka, więc dzieci szybko, bez przerw, podchodzą do mikrofonu. Danusia przyjechała z Sosnowca z braciszkiem i jego kolegą. Zaśpiewa o gruszeczce przy ich akompanjamencie na gitarach. Innym dzieciom akompanjuje do śpiewu uniwersalny Andrzejek, który z pamięci wygrywa na fortepianie wiele ładnych piosenek.

Już czasu coraz mniej. Jeszcze dzieci proszą o pozwolenie przesłania przez mikrofon pozdrowień dla swych rodzin. Mają je wypisane na karteczkach, żeby pamięć w tak ważnej chwili nie zawiodła, jak zdarza się czasami takim śmiałkom, co to zanadto ufają swoim siłom, a tracą głos, gdy się odezwą w ogólnej ciszy przed tajemniczą skrzyneczką na stole.

Na zakończenie musi być piosenka harcerska „My zuchy", bo o nią prosiły dzieci polskie z Czechosłowacji. Zapewne uczą się przy mikrofonie tej pięknej piosenki, niosącej im radość polskiego dziecka, szczęśliwego na swojej własnej ziemi.

Szczęśliwego dziecka... Kiedyż nastanie ta wymarzona era, kiedy przynajmniej wszystkie dzieci będą miały to wszystko, co im do szczęścia jest potrzebne? Niewiele tego trzeba na miarę jednej złotowłosej główki, ale dla wszystkich... Próbuję liczyć, ale jakaś melodja przeszkadza mi uporczywie a znacząco. Aha, to ta, którą śpiewały biedne, osierocone dziatki, które przyszły na „Swaczynę u Dorotki" po odrobinę serca.

„Jadą, jadą misie...".

J. H.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). - TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.
CENY OGŁOSZEŃ: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600 Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor. prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 44 **Niedziela 1 listopada 1936** **Rok II**

ASY NUMERU 44-GO:



Wizyta włoskiego ministra spraw zagranicznych hr. Galeazzo Ciano w Berlinie wywołała wielką sensację na tle coraz bardziej poplątanych międzynarodowych stosunków dyplomatycznych. Bo oto dwa potężne prądy współczesnej myśli państwowej — faszyzm i komunizm — ścierają się na terenie Hiszpanji, zamieniając całą Europę w warowny obóz. Chodzi o to, co uczynią dwie potęgi prawicowe — Niemcy i Włochy, na wypadek zbyt wydatnej pomocy Z. S. R. R. na korzyść Madrytu. Z okazji przyjazdu ministra włoski ambasador w Berlinie, Attolico wydał na jego cześć przyjęcie, na którem, pozbywszy się kłopotów dyplomatycznych, hr. Ciano prowadził ożywioną rozmowę z premjerem Prus, Göringem i jego uroczą małżonką. *Presse Photo — Berlin.*



Na lewo: Ogólny widok republiki San Marino, zbudowanej na szczycie góry Monte Titano.

Rzeczpospolita w minjaturze

Jeżeli kogo kiedy szczęśliwe losy rzucą do pięknego nadadrjatyckiego miasteczka Rimini — niech, nie szczędząc kilkunastu lirów, wsiądzie w tramwaj elektryczny, idący w kierunku południowo - zachodnim. — Jadąc wzdłuż grzbietu etruskich Apeninów, wciśniętych między prowincje Marchię i Emilię, będzie miał sposobność podziwiać siność gór, skrapianych szmaragdową zielenią soczystej trawy, na której bieleją liczne stada owiec.



Powyżej: Podczas uroczystości państwowych „capitani reggenti" przywdziewają strój sięgający czasów renesansu.

Gdy tramwaj zatrzyma się wreszcie u stóp niewysokiego, lecz sterczącego samotnie i niedostępnie szczytu Monte Titano, wystarczy drobna formalność paszportowa, by znaleźć się na terytorjum najmniejszej rzeczpospolitej na świecie, w miniaturowym kraiku, gdzie na obszarze równym mniejwięcej obszarowi naszej Łodzi (60 km kw.) zamieszkuje zaledwie 13 tysięcy mieszkańców, a więc o połowę prawie mniej niż w Bielsku. Istna „szczypta ziemi — tyle, co zatrzyma przechodzącego podeszwa olbrzyma", jak wyrasił się Kornel Ujejski.



Powyżej: Żołnierze republiki przypominają mundurem wojsko włoskie.

Na prawo: W pałacu rządowym wzbudza zainteresowanie piękny gotycki kominek z herbem państwa.

Pokrzepiwszy się w prymitywnej austerji znakomitym czerwonym muszkatem, stanowiącym specjalność San Marino, można zająć miejsce w wygodnym autobusie, na którym pyszni się tarcza z herbem państwowym: trzy kopce z wieżami, a na ich szczycie trzy powiewające pióropusze. Nad tarczą — korona, a pod nią — napis: „Libertas", świadczą wymownie o tem, że jesteśmy w kraju, który choć maleńki, jest politycznie najzupełniej niezawisły.

Wspaniała, asfaltowa szosa, przecinająca piękne, dębowe lasy prowadzi serpentyną dokoła Monte Titano, odsłaniając raz po raz malowniczy widok na okoliczne góry, znajdujące się na terenie „państwa". Uprzejmy konduktor objaśni dźwięczną włoszczyzną, że są to szczyty della Guaita, Gista i Cucco.

Poniżej: Oto pałac rządowy, w którym sprawują rządy „capitani reggenti".



Na samym szczycie Monte Titano, jak niedostępne orle gniazdo, mieści się, otoczona wieńcem wsi, stolica, od której cały kraj wziął swoją nazwę.

Jeżeli wierzyć niezbadanym bliżej legendom, San Marino ma już za sobą półtoratysiącletnią zgórą przeszłość. Według podania wywodzić ma swój początek od kamieniarza Marinusa. Przywędrował on tu, uciekając z pobliskiej Dalmacji przed prześladowaniem, które dotknęło chrześcijan w IV wieku naszej ery. Wkrótce Marinus porzucił kilof i pełnym wyrzeczeń, pustelniczym żywotem pozyskał sobie rozgłos i późniejszą kanonizację. Czy to duchowe przeobrażenie było naturalnym wypływem głęboko religijnej natury Marinusa? Jaką rolę odegrało w tym procesie duchowym surowe, pełne prostoty piękno przyrody apenińskiej, która mogła wycisnąć silne piętno na duszy samotnika?—O tem wszystkiem legenda nie wspomina, pozostawiając szerokie pole do snucia najprzeróżniejszych domysłów.

Na pamiątkę świętego założyciela miasta wznosi się w nim monumentalny kościół pod jego wezwaniem, godny widzenia ze względu na piękną kolumnadę koryncką oraz na znajdujący się wewnątrz biały marmurowy posąg św. Marinusa. Pokazują tu także w pobliżu miasta dzwoniącą spadającemi kroplami wody piękną grotę d'Acquaviva, gdzie skromny kamieniarz dalmatyński udzielać miał chrztu nowo nawróconym, którzy licznie skupiać się poczęli, znęceni zarówno cudami patrona, jak swobodą, którą zabezpieczała skalista niedostępność gór.



San Marino, miasto uciekinierów, prześladowanych za wiarę i poglądy polityczne, pozostało po dzień dzisiejszy żywym symbolem wolności. Niejedna już potęga jak fala morska szturmowała w Monte Titano, chcąc zdobyć miasto — niejedna już rozbiła się o jego skaliste podnóże. Trzy obronne zamki zachowane w wcale dobrym stanie oraz kil-

ka warownych kościołów i klasztorów są świadectwem wysiłków, jakie czynić musieli niegdyś mieszkańcy San Marino, by odeprzeć ataki sąsiednich wrogich państw, które chciały wcielić Monte Titano do swych posiadłości. Niejednokrotnie próbowali skłonić San Marino do uznania swej władzy zwierzchniej bądź papieże bądź przedstawiciele potężnej rodziny Malesta, książąt pobliskiego Rimini. Ale mieszkańcy San Marino potrafili zawsze unicestwić zamachy na niezawisłość rzeczypospolitej. wygrywając władzę świecką przeciw duchownej lub duchowną przeciw świeckiej.

Dochodziło niekiedy zresztą i do orężnych starć, ale kończyły się one zawsze niepowodzeniem atakujących, a nawet wpływały czasem na nieznaczne rozszerzenie się granic republiki. Obce wojska kwaterowały na rynku miasteczka tylko dwa razy: po raz pierwszy w XVI wieku, gdy okrutny Cezar Borgia zdobył miasto (po śmierci jego wygnano natychmiast gubernatora wraz z całym garnizonem), a po raz drugi w roku 1851, gdy za zgodą tutejszych władz wkroczyła do miasta żandarmerja papieska wsparta przez wojska austrjackie, by pojmać wychodźców z Państwa Kościelnego. Dotknęło to jednak wówczas tylko poszukiwanych przestępców kryminalnych: mimo obecności w mieście tysiąca uzbrojonych żołnierzy, mieszkańcy San Marino potrafili uzyskać poszanowanie prawa azylu dla wszystkich uciekinierów politycznych.

Bez wpływu na losy San Marino pozostały również zwycięskie walki Napoleona I, toczone we Włoszech. Bonaparte, który z trzeźwością umysłu łączył w sobie kult bohaterstwa i szacunek dla tradycji wolnego kraju, co okazywał niejednokrotnie i Polakom — nie włączył San Marino ani w skład rzeczypospolitej cyzalpińskiej, ani w skład późniejszego królestwa rzymskiego.

San Marino nie zostało porwane również narodowym ruchem Garibaldiego i nie weszło w skład zjednoczonej Italji, tworząc po dziś dzień samodzielne państwo mimo imperjalistycznego rozmachu Mussoliniego. Sprawa ta jest tem dziwniejsza, że właściwie nie ma żadnej różnicy etnicznej lub języko między mieszkańcami San Marino a najbliższymi ich sąsiadami. Tego, co zapoczątkowała natura, odosobniając San Marino od reszty Włoch, dopełniła mistrzowska gra dyplomatyczna Napoleona III, pragnącego osłabić siłę jednoczącej się Italji przez uczynienie wyrwy w samym środku kraju, którego unifikacja stawiała nielada barjerę jego ambitnym planom. W czasach dzisiejszych San Marino połączone jest z Włochami tylko traktatem gwarancyjnym z roku 1862, odnowionym w roku 1897 oraz przynależnością do włoskiej diecezji kościelnej Montefeltre.



Powyżej: Fragment uliczki stolicy.



Powyżej: Fragment skalistego zamku San Marino.

Na prawo: Typowy zaprzęg wieśniaków sanmaryneńskich.



Poniżej: Dziewczęta w małej republice cieszą się sławą wielkiej urody.



Mówi się potocznie o Anglji jako o najkonserwatywniejszym kraju na świecie. Byłoby o wiele słuszniej zastosować to zdanie do San Marino, gdzie aż do połowy XIX wieku nie zezwolono na założenie drukarni, pamiętając o tem, że początkowi tego wynalazku towarzyszyły wojny religijne związane z prześladowaniem heretyków.

Dowodem konserwatyzmu mieszkańców San Marino jest również ustrój jego, który przetrwał prawie bez zmiany od XII wieku. Na czele państwa stoi „Generale Consiglio Principe", wielka rada municypalna, składająca się z 60 członków, wybieranych po dwudziestu ze szlachty, mieszczan i chłopów na lat 9, przyczem co 3 lata zmienia się jedna trzecia członków. Instytucja ta piastuje władzę zwierzchnią i prawodawczą rezydując w pięknym pałacu ozdobionym portretami i biustami zasłużonych obywateli. Co roku Rada wyłania spośród siebie dwóch „capitani reggenti", którzy sprawują władzę wykonawczą w ciągu sześciu miesięcy naprzemian to na wsi, to w stolicy. Analogji do tego ustroju szukaćby trzeba było aż w republikańskim Rzymie z epoki przedcezariańskiej, gdzie senat i dwóch konsulów stało na czele miasta-państwa.

Władza sądownicza spoczywa w rękach wydziału Consiglio Generale, t. zw. Rady Dwunastu, która strzeże sprawiedliwości wykonywanej przez wybieranych na trzy lata sędziów... cudzoziemców. To curiosum można wytłumaczyć bardzo łatwo, gdy się zważy, że spokrewnieni i spowinowaceni między sobą obywatele miniaturowej republiki nie mieliby dość szacunku dla krewnych-sędziów, a ci zkolei nie dość objektywizmu dla krewnych-podsądnych. Z tego względu również policja miejscowa czyli t. zw. karabinierzy nie są rodem z San Marino.

Dokończenie na str. 6-ej.

Dokończenie ze str. 5-tej.

Budżet San Marino wynosi 4 miljony lirów, przyczem kraj wolny jest całkowicie zarówno od jakichkolwiek długów, jak i od bezrobocia. Nieliczni mieszkańcy, nie zatrudnieni w ojczyźnie, znajdują z łatwością pracę przy najróżniejszych robotach sezonowych w okolicy.

Opierając się przez tyle wieków politycznym wpływom bliższych i dalszych sąsiadów, nie zdołało jednak San Marino uniknąć wpływów kulturalnych, które zwłaszcza w okresie renesansu pozostawiły tu szereg wspaniałych zabytków w postaci ratusza, paru kościołów i pięknego pałacu Valloni, w którym dziś znajduje się bibljoteka publiczna.

Na malowniczych ulicach, z których wiele zbudowanych jest na pochyłości góry w postaci schodów, spotyka się wyjątkowo dużo ludzi w mundurach. Proszę pomyśleć tylko: na 13 tysięcy mieszkańców przeszło tysiąc należy bądź do gwardji narodowej, bądź do armji lub żandarmerji, nie mówiąc już o milicji obywatelskiej, w której służba rozpoczyna się w 16 a kończy w 55 roku życia.

Regularna siła zbrojna San Marino składa się z 9 kompanji piechoty (950 ludzi dowodzonych przez 38 oficerów) wspartych przez artylerję, którą repezentują cztery armaty ofiarowane San Marino w dowód sympatji przez... Napoleona I jeszcze w roku 1797. Armja ta posiada oczywiście tylko znaczenie repezentacyjne, gdyż mieszkańcy trudniący się po większej części rolnictwem, przemysłem i handlem, nie mają usposobienia wojowniczego i dziękują Bogu, że nie nastręcza im się okazja wypróbowania sprawności swych żołnierzy i nośności armat!

Monte Titano mogło bronić się kilkanaście wieków przed obcymi zakusami: w wieku XX, w wieku samolotów, gazów, tanków nie broniłoby się nawet kilkanaście minut.

Jak dotąd jednak, niezawisłości San Marino zdaje się nic nie grozić. W ciągu szesnastuset lat niejedna wichura przeszła nad Europą, niejedna potęga legła w gruzach, a małe San Marino przetrwało wszystkie burze i zdołało ocalić swój skarb największy — niepodległość.

Tadeusz Heller.

KWIAT, KTÓRY WITA ZIMĘ.

Czyż to nie dziwne, że właśnie w tym czasie, kiedy cała przyroda zdaje się zwolna zamierać i po intensywnem i bujnem życiu lata, przygotowywać do odpoczynku, zjawia się ten szczególny i piękny kwiat? Barwny kobierzec, jaki tworzy swym wystąpieniem w danem miejscu, stanowi wyraźny kontrast z szarością otoczenia... Dziwny ten kwiat wita nadchodzącą zimę i stąd jego nazwa zimowita (Colchicum autumnale).

Mało kto może zna ten kwiat, który dawniej pospolity na łąkach ziem naszych, dzisiaj staje się coraz to rzadszym, zwłaszcza na niżu, częstszym jest bowiem jeszcze w Beskidach. Niekiedy w jesiennej porze ukazuje się także na Rynku krakowskim, mylnie jednak uchodzi za krokus, do którego zresztą jest uderzająco podobny.

W miejscach, gdzie rośnie zimowit, nic przez dłuższy czas nie zdradza jego obecności. Nagle któregoś jesiennego dnia jakgdyby pod dotknięciem czarodziejskiej różdżki, ukazują się w dużej ilości jego piękne, różowo-liliowe kwiaty. Wysmukłe kielichy, dochodzące do 20 centymetrów wysokości, zdają się wyrastać wprost z ziemi. Nie widać ani łodyżek ani liści. Skądże się jednak wzięły?

Na prawo: Wydłużone kielichy zimowita zdają się wyrastać wprost z ziemi.

W kole: Górna część kielicha kwiatu zimowita.





Gdy wykopiemy roślinkę z ziemi, możemy zauważyć, że kwiat o długim kielichu wyrasta z podziemnej bulwy, która stanowi jakgdyby spiżarnię, obficie zaopatrzoną w zapasy pokarmowe, z których roślina korzysta wtenczas, gdy rośnie, kwitnie i owocuje. Nasuwa się teraz pytanie, w jaki sposób zimowit zdobywa ten pokarm i gromadzi go w swych podziemnych bulwach! Wiadomo, że wszystkie rośliny zielone posiadają specjalną, sobie właściwą zdolność zdobywania pokarmu z powietrza zapomocą swych zielonych części a zwłaszcza liści, na drodze przyswajania. W zawiłym procesie wytwarza się materjał organiczny, którego część zostaje zużyta przez rosnące części rośliny, reszta zaś dostaje się do magazynów, które stanowią zwykle podziemne części rośliny.

Gdzież są u zimowita liście, ci wytwórcy pokarmu, odłożonego jako zapas... na przyszłość? Daremnie szukalibyśmy ich w jesieni, wtenczas gdy ukazują się kwiaty. Były, ale jeszcze z wiosną. I gdybyśmy w tej porze roku zwrócili uwagę na stanowisko, gdzie w jesieni pojawiają się kwiaty zimowita, ujrzelibyśmy wiele wąskich listków, wyrastających wprost z ziemi, a wśród nich ukryte zielone jeszcze owoce. I znowu czeka nas niespodzianka! Skądżeż wzięły się teraz owoce, gdy nie widzieliśmy jeszcze kwiatu? A wiemy dobrze o tem, że owoc może powstać z kwiatu i to wówczas tylko, gdy kwiat ten zostanie zapylony. U większości roślin na wiosnę lub w lecie ukazują się kwiaty, na których miejsce w jesieni zawiązują się owoce. U zimowita możemy spostrzec wręcz przeciwne zjawisko. U niego kwiaty pojawiają się w jesieni a owoce dojrzewają na wiosnę. To jesienne kwitnienie nie jest bez znaczenia, barwne bowiem kielichy, wychylające się z niskiej stosunkowo o tej porze trawy, są bardzo widoczne i zwabiają do siebie owady jak: pszczoły, trzmiele, a nawet długotrąbkowe motyle, które pośredniczą w przenoszeniu pyłku z jednego kwiatu na drugi. Po zapyleniu kwiat więdnie i ginie, ale ukryta w ziemi dolna część jego kielicha, zawierająca ważną dla powstania owocu zalążnię, ulega dalszemu rozwojowi i przemianom, które prowadzą do zawiązania owocu.

Rolnicy nie cieszą się pojawieniem kwiatów zimowita spowodu ich trujących własności, wiedzą oni dobrze, że zawarta we wszytkich częściach tej rośliny substancja, zwana kolchicyną, nawet w wysuszonej paszy może być szkodliwa. Nie mniej jednak bulwy oraz nasiona o ostrym i gorzkim smaku znalazły zastosowanie w medycynie, dostarczając lekarstwa głównie przeciw reumatyzmowi. Niektóre zaś odmiany zimowitów, hodowane w ogrodach, stały się prawdziwą ich ozdobą.

Piękne kwiaty zimowita, odcinające się barwną plamą od jesiennego tła szarych już pól i smutnych rżysk zdają się być ostatnimi uśmiechem słonecznej i pogodnej jesieni.

Dr. Z. M.

KĄCIK

FILATELISTYCZNY

Francuskie przysłowie mówi: „l'appétit vient en mangeant" i również ten sam objaw widzimy u każdego zbieracza, bo im ktoś posiada większy zbiór, tem bardziej rośnie u niego pragnienie zdobycia sztuk rzadszych i kosztówniejszych.

Jedyną drogą jest prawie tylko kupno, ale u handlarzy nie można wszystkiego nabyć, ponieważ nie są oni wstanie zaspokoić żądań wszystkich swoich odbiorców naraz, a z drugiej strony filateliści, likwidujący czasem z konieczności swe skarby, wolą je sprzedać innym zbieraczom bezpośrednio.

Tak też aukcje, czyli licytacje stały się najlepszem źródłem nabycia znaczków drogich i w ten sposób uzyskuje się je za cenę nawet niewygórowaną. Aukcje odbywają się zagranicą już od wielu lat i w Polsce, gdy tylko sytuacja finansowa się poprawi, znajdzie się napewno dość materjału do urządzenia podobnej imprezy.

Sposób przeprowadzenia aukcji jest podobny we wszystkich firmach. W Anglji największe znaczenie mają domy filatelistyczne: H. R. Harmer, Harmer-Rooke, orab Plumridge, w Belgji: Balasse, w Austrji Dorotheum, a w Niemczech istnieje również wiele przedsiębiorstw tego rodzaju z Senfem na czele.

Każda z tych firm ogłasza najpierw termin, w którym zamierza urządzić licytację (niektóre odbywają się nawet perjodycznie), a po zebraniu odpowiedniego materjału opracowuje katalog. Zestawienie podobne zawiera fotografje najcenniejszych okazów i naturalnie spis kolejny. Przy każdej pozycji mamy opis egzemplarza, jego numer i cenę katalogu, używanego w danym kraju, oraz podane ewentualne uszkodzenia. Zaznaczyć muszę, że wobec tego, iż na rynku jest już mało rarytasów w stanie idealnym, coraz częściej spotyka się egzemplarze lekko uszkodzone. I na nie są amatorzy. (Wygląd zewnętrzny znaczka musi być jednak bez zarzutu).



Od góry: Znaczek francuski, wydany z okazji setnego przelotu nad Atlantykiem, oraz znaczek brazylijski z pierwszemi taktami opery „Il Guarany" (z okazji 100-lecia kompozytora).

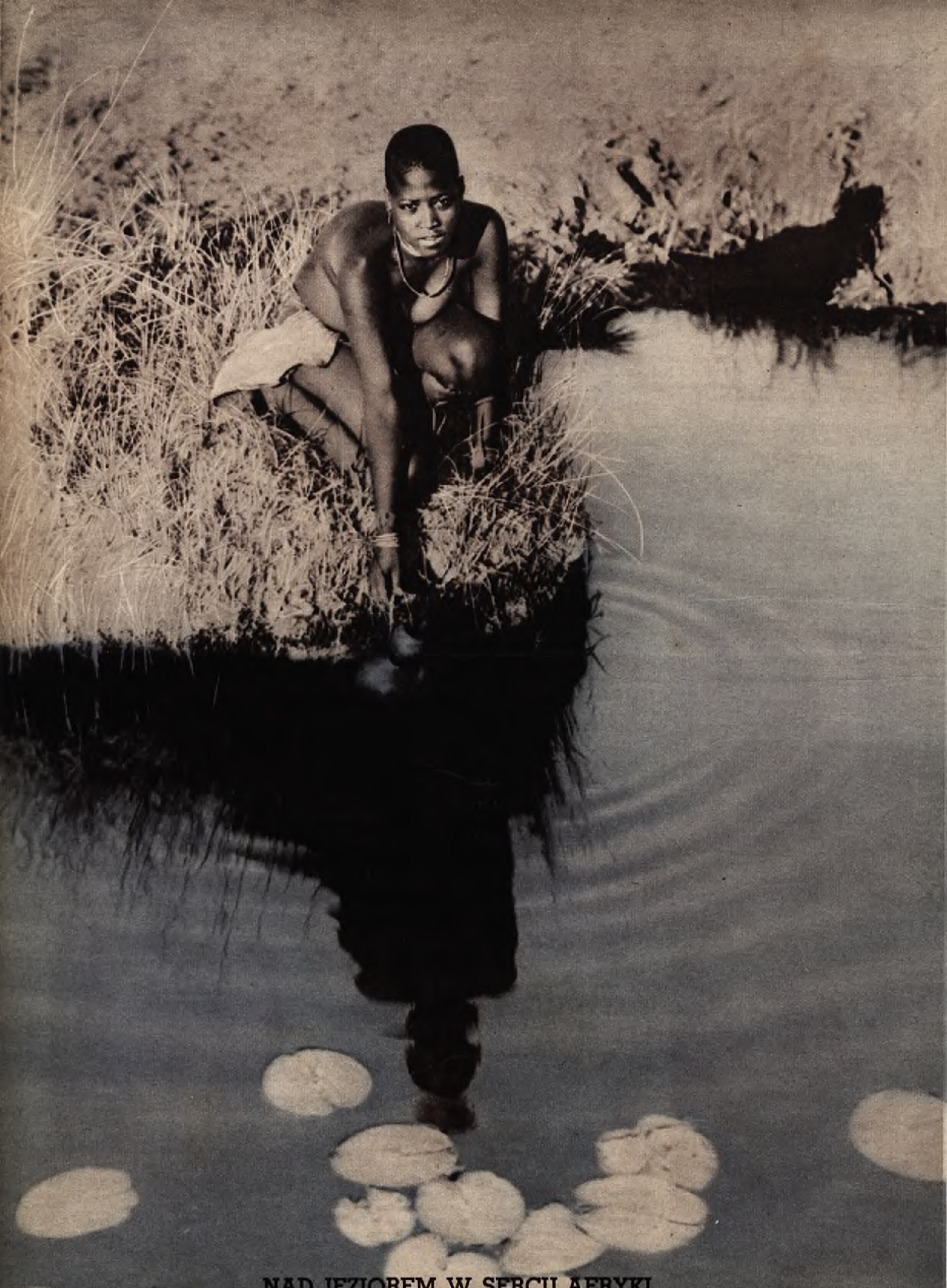
Największy sukces finansowy zanotowano na licytacyjnej likwidacji zbiorów barona Ferrari w 1923 i Amerykanina Artura Hinda w 1934/35. Suma gotówki, która wpłynęła na rzecz sprzedawców przekroczyła za każdym razem miljon złotych.

Dzięki aukcjom, mogą więc zbieracze, mieszkający nawet w dalekich krajach, nabywać to, czego im brak, wysyłają tylko zlecenie kupna i opłacają prowizję, wynoszącą od 10 do 20 proc. Znacznie korzystniejszem jest naturalnie, jeśli katalog podaje ceny wywołania (jak np. Dorotheum).

Z nowości reprodukujemy tym razem tylko Brazylję i Francję, która z okazji 100 przelotu wydała jeszcze drugi egzemplarz za 10 fr. (ze zbiorów p. Seegin).

Terminy najbliższych aukcyj: Balasse (Bruksela), od 1—9 listopada, Dorotheum (w każdy wtorek).

W. H.



NAD JEZIOREM W SERCU AFRYKI

Fot. Wide World — Berlin.

uśmiech św. HUBERTA

CHARLIE

ADAM GÓRECKI ★ OPOWIADANIE MYŚLIWSKIE

Mówiła mi moja stara niańka, że gdy ten padół łez i płaczu ujrzałem, z podanych mi przez nią do kołyski dwóch przedmiotów, grzechotki dziecinnej i pustej łuski z naboju, wybrałem tą ostatnią. Kiedy zwrócono niani uwagę na możliwość skonsumowania przeze mnie papierowej łuski ze smakiem, a ona chciała mi ją odebrać, zaprotestowałem stanowczo — krzykiem i kopaniem nóg.

— Ha! Już ta pewnikiem nic innego z tego nie wyrośnie, ino myśliwy! Ojca będzie natura!

Tak zawyrokowała starucha, która o ile wiem, taki sam wyrok wydała przy kołysce mego ojca. Tę chorobę dziedziczną naszej rodziny znała stara dobrze, jako odwieczna piastunka nemrodów. Odwieczna dlatego, że nigdy nie mogłem zdać sobie sprawy z tego, jak długo mogła być na służbie naszej rodziny. O przodkach moich, przebywających od dziesiątek lat w zastępach niebieskich, mówiła tak, jakby się z nimi przed chwilą rozstała.

Po ogłoszeniu tego proroctwa, długo jeszcze, bo do ósmego roku życia, nemrod spał we mnie. Obudziła go przygoda, która do końca życia będzie żywo stała mi w pamięci.

* * *

Wysokie góry Wschodniego Beskidu pokryte grubo śniegiem. Wąski ślad sań wytarty w śniegu, na krętej górskiej dróżce, po której szybko posuwają się małe sanki, zaprzężone w jednego konia. W sankach było nas dwoje. Matka moja, kierująca koniem i owinięte w jakieś kożuchy czy futra moje „jestestwo".

Pęd sanek, które zdawały się chwilami lecieć w powietrzu, lub wisieć, przyczepione do zbocza stromej skały iuderzające w twarz grudki zbitego śniegu z pod kopyt końskich, oszałamiały mnie i upajały.

Zapadał zmrok. Krajobraz zaczął się szybko zlewać w jakąś szarą, niesamowitą barwę. Oplecione śniegiem, zrzadka rozrzucone po zboczach górskich krzewy, przybierały fantastyczne kształty nadprzyrodzonych ludzi i zwierząt z zasłyszanych bajek. Zdawało się to wszystko nabierać życia i poruszać. Przyszły mi na myśl opowiadane wieczorami historje o strachach i wilkach. Zrobiło mi się nieswojo i mimowoli rzuciłem okiem na przewieszony na szyi matki sztucer Manlichera, który przy silniejszych wstrząsach sanek, dawał mi znać o sobie trącaniem w kolano.

Wjechaliśmy w wązów o stromych zboczach i zrobiło się prawie ciemno.

W pewnym momencie koń parsknął raz i drugi, szarpnął saniami i zaczął gnać jak szalony.

Uszu mych dobiegło rzucone przez matkę słowo:

— Wilki!

Teraz wypadki nastąpiły po sobie z błyskawiczną szybkością. Zostałem ujęty ręką za kark i wtłoczony na dno sanek, skąd z przerażeniem obserwowałem matkę.

Stała w saniach tyłem zwrócona do konia. Lewą ręką, dookoła której miała okręcone lejce, ściągała całą siłą oszalałe ze strachu zwierzę. Prawą starała się utrzymać sztucer przy twarzy.

Spojrzałem za sanie!

Tuż, tuż za niemi zobaczyłem potworne, jak mi się wtedy zdawało, ze świecącemi zielono oczyma, sylwety dwóch wilków.

Przerażenie me przeszło wszelkie granice. Instynktownie ukryłem się w jakieś koce pod siedzeniem.

Miałem wrażenie, że koń trochę zwalnia bieg. Słyszałem jeszcze jakby niewyraźnie, huk strzałów i zatraciłem świadomość tego, co się dalej działo.

Obudziłem się dopiero na drugi dzień w swojem łóżku, w ciepłym i jasnym pokoju ojcowskiej leśniczówki. Otworzywszy oczy, spotkałem utkwiony w siebie jakby z niepokojem wzrok ojca. Widząc, że nie śpię, zagadnął:

— No! Dzieńdobry! Zdrów jesteś? Nie boli cię co?

Szybko przesunęły mi się w myślach wczorajsze przeżycia. Nie będąc pewny, czy to była okropna rzeczywistość, czy przykry sen tylko, szepnąłem coś do siebie na temat wilków. Ojciec, jakby w odpowiedzi na to, rzekł:

— Wstań i ubierz się prędko! Zobaczysz coś ciekawego!

Dwa razy nie trzeba mi było tego powtarzać. W tym wieku brakiem ciekawości nie grzeszy się nigdy.

W kilka minut potem, byłem w podwórzowej szopie, gdzie zobaczyłem zwisające na grubym drągu łbami na dół, dwa olbrzymie cielska wilcze, a stary gajowy, Hucuł, zakasawszy rękawy, zabierał się do zdejmowania skóry.

Jak łatwo się domyśleć, były to trofea matki mojej, zdobyte w tak niesamowitych okolicznościach i nie trzeba dodawać, jak bardzo byłem zachwycony bohaterstwem matki.

* * *

Opisany wypadek dał początek memu zainteresowaniu się bronią. Asystowałem teraz przy każdem rozbieraniu i czyszczeniu broni, a nawet czasem (o, radości!) na moją usilną prośbę, wolno mi było trochę w rękach potrzymać sztucer lub dubeltówkę.

Z czasem zabierał mnie ojciec na niedalekie spacery z bronią, nieraz do czegoś przy mnie strzelił, polował koło domu z puhaczem na ptacwo, a potem — potem przyszła wojna światowa...

Zadudniły spokojne dotąd góry echem strzałów armatnich.



Stała w saniach tyłem zwrócona do konia...

Rozszczekały się po wąwozach karabiny maszynowe.

Przelewały się wojska kilka lat jak fale — to rosyjskie, to austrjackie, to polskie Legjony...

Dla mnie osobiście było to wszystko bardzo interesujące, tem bardziej, że wszędzie można było znaleźć, jakieś nieznane, pozostawione przez wojska przyrządy, części jakichś maszyn czy broni i całe masy naboi. Rzecz najważniejsza, że wszystko to dało się zastosować do swoich potrzeb.

Miałem wtedy wyspecjalizowanych w tych sprawach towarzyszy zabaw.

Pusta gilza karabinowa, oprawiona w kawałek drzewa, doskonale naśladował rewolwer. Do takiej gilzy nasypywało się prochu, zatykało go papierem i przymocowywało się ten „rewolwer" do jakiegoś przedmiotu. — W rękach na szczęście nikt nie miał odwagi tego trzymać! Jeden z odważniejszych pędziwiatrów przykładał zapaloną zapałkę do otworu przepiłowanej z tyłu gilzy i następował strzał, który zwykle rozrywał rewolwer w kawałki.

Takie i temu podobne roiły się w tych głowach pomysły. Mojem marzeniem jednak zawsze było posiadanie prawdziwej broni.

Po pewnym czasie, choć wojna toczyła się jeszcze gdzieś daleko, stosunki zdawały się normować. Rodzina moja znalazła się na terenie dawnej Kongresówki znów w leśniczówce, a ja wpakowany do gimnazjum w mieście K. dumny byłem ze swego jednego paska na kołnierzu, niewątpliwego godła pierwszoklasisty.

— Jak przejdziesz do drugiej klasy, będziesz chodził ze mną na dzikie kaczki. Mam tereny. Rozumiesz? — zachęcał mnie ojciec.

Jeszczeby nie rozumieć! Polowanie — dzikie kaczki!

Dłużył się nieraz czas nad książką, ale wreszcie nadeszły upragnione wakacje.

To chodzenie na kaczki przybrało realną formę, ale dla mnie kończyło się zawsze tylko „chodzeniem", a w najlepszym razie niesieniem ojcowskiej strzelby do domu po skończonem polowaniu.

Buntowała się moja młoda myśliwska dusza.

Mózg opracował plan działania.

* * *



Huk stu piorunów i spadam pchnięty jakąś siłą na wznak do wody.

W piękny, skwarny dzień sierpniowy, przekonany, że przez nikogo nie mogę być kontrolowany, chwyciłem ojcowską strzelbę, kilka naboi i — hajda — chyłkiem w stronę jeziora.

Do samego jeziora dostęp był trudny spowodu okalających je trzęsawisk i bagien. Doszedłszy zaś do brzegu, nie widziałem nic przed sobą przez gęsto rosnące i o wiele wyższe ode mnie tataraki. Łodzi nie pozwalał użyć strach przed świadkami.

Należało koniecznie wybrać jakieś stałe miejsce i czekać na przelatujące lub przepływające ptactwo.

Wdrapałem się na stojącą nad wodą jedyną wierzbę.

Gałęzie jej były tak ułożone, że nie mogłem w żaden sposób zająć wygodnej pozycji. Zaczepiony jednak w gałęziach, postanowiłem jednak wytrwać.

Po godzinie bezskutecznego czekania ze strzelbą u ramienia, całe ciało odrętwiało mi. Już miałem zrezygnować z tych łowów, gdy nagle, w odległości może czterdziestu kroków, na gładkiej tafli wody, zobaczyłem kaczkę.

Poznałem cyrankę. Płynęła spokojnie, nie przeczuwając nic złego...

A na drzewie w tym samym czasie serce wielkiego łowcy, chciało wyskoczyć z piersi...

Oczy krwią zachodzą!

Kaczka płynie bliżej! Jeszcze bliżej!!

Myśl wiruje wkółko — trafić! Oh! Trafić!!

Jeszcze bliżej!

Strzał!!!

Huk stu piorunów i spadam pchnięty jakąś siłą na wznak do wody.

Wstaję! Wściekłe dzwonienie w uszach!

Niespodziewana kąpiel wraca mi częściowo przytomność.

Jestem pewny pudła.

Naraz błyskawica myśli — strzelba! Gdzie strzelba!?

Wpadła do wody. Może złamana?! Może utonęła?

Rzucam niespokojnym wzrokiem dokoła, brnę po mulistem dnie — niema!

Ogarnia mnie rozpacz. Zaczynają dręczyć wyrzuty sumienia. Może ojciec wrócił do domu i spostrzegł brak strzelby, lub może strzał ktoś słyszał i przyjdzie na jego odgłos?

Co robić?

Kręcę się niespokojnie, spoglądam na drzewo i o dziwo! Cel moich poszukiwań wisi spokojnie na gałęzi. Sekunda — jestem na drzewie. Zdejmuję strzelbę i rzucam mimowoli okiem na wodę.

Boże mój! Oczom nie wierzę!

O kilka kroków od nieszczęsnego drzewa srebrzy się w słońcu brzuch ubitej kaczki, mej pierwszej zdobyczy myśliwskiej!

Płakałem i śmiałem się naprzemian z radości!

— — — — — — — —

Czułem na sobie wzrok Świętego Huberta, a spojrzawszy w niebo, zdawało mi się, że widzę jego życzliwy uśmiech w słońcu...

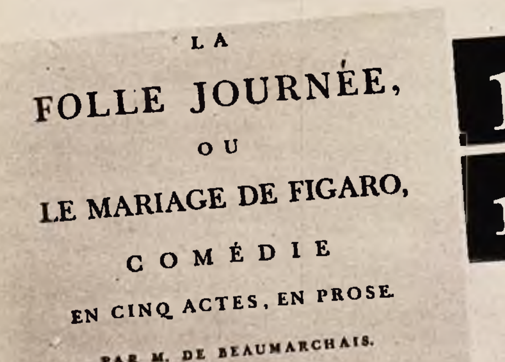
— — — — — — — —

Kiedy w dziesięć lat potem położyłem w puszczy kresowej pierwszy raz olbrzymiego odyńca, nie zaznałem już tej emocji, jaką mi dała ongiś mała kaczuszka-cyranka.

Święty Hubert uśmiecha się do myśliwego tak zbliska tylko raz w życiu!

---

premjera rewolucji



LA

FOLLE JOURNÉE,

OU

LE MARIAGE DE FIGARO,

COMÉDIE

EN CINQ ACTES, EN PROSE.

PAR M. DE BEAUMARCHAIS.

Représentée pour la première fois, par les Comédiens françois ordinaires du Roi, le mardi 27 avril 1784.

DE L'IMPRIMERIE DE LA SOCIÉTÉ LITTÉRAIRE-TYPOGRAPHIQUE;

Et se trouve à Paris,

Chez RUAULT, libraire, au Palais-Royal, près le théâtre, n° 216.

1785.

Karta tytułowa pierwszego wydania „Wesela Figara" z r. 1785 (z bibljoteki autora).

Teatr można porównać do źle wychowanego, nieposłusznego dziecka: „wyrywa" się on nieraz z rzeczami, które wprawdzie są pierwszorzędnej wagi, spędzają ludziom sen z oczu, ale które się tem pilniej ukrywa. Gdy takie „enfant terrible" wypowie tajemnicę starszych, powstaje ogromne oburzenie i dziecko idzie do kąta, a teatr... pod cenzurę! Tak było zawsze: i tylko te sztuki które były wyrazem bieżących zagadnień, pozostawiły trwały ślad w dziejach ludzkości, inne, oficjalne apoteozy i wszelkiego rodzaju „wypracowania" teatralne, przeszły bez echa w duszach ludzkich, chociaż z bardzo pięknemi krytykami w prasie. Są oczywiście poza tem sztuki o wiecznej świeżości problemu: cały Shakespeare, Molière, „Faust" Goethego, itd. Ukazanie się pewnego zagadnienia na deskach teatralnych świadczy o tem, że owoc zrozumienia jego dojrzał i lada chwila „spadnie".

Tak też było z „Weselem Figara" w pierwotnym tytule „La Folle Journée ou le Mariage de Figaro" pana Piotra-Augustyna Caron de Beaumarchais, wystawionem w Paryżu dnia 27. kwietnia 1784 roku. Epoka, w której Francja zobaczyła Figara, była pod każdym względem nader ciekawa; wkrótce miała się stać chwilą przełomową, dzielącą dwa światy: średniowiecze, istniejące jeszcze w formach prawnych życia i nowoczesność. Właśnie wtedy stosunki stworzone przez Ludwika XIV. i innych królów francuskich miały wydać swój owoc. Potężne domy szlachty francuskiej, które tylokrotnie stawały królom na drodze do zjednoczenia Francji i stworzenia silnych rządów, zeszły do rzędu dworzan wersalskich. Arystokracja przebywała po większej części w otoczeniu króla: jak ogon komety podąża za gwiazdą, tak oni tworzyli ozdobny orszak króla. Zamki szlachty pustoszały, ziemią zarządzał rządca, zwykle robiący interesy na swym panu i na podanych jego. Kontakt dziedzica zamku z ludnością został zerwany, bo szlachta francuska, tak dawniej rycerska i zrośnięta z ziemią, stała się raczej szlachecką finansjerą, tracąc swój właściwy charakter. Poważny renesans i ponury gotyk zamków francuskich, ustąpił wstążkom i girlandom, amorkom i wiankom róż, będących wyrazem uroczego zbytku. I ta „paryskość", toześrodkowanie Francji w Wersalu i wysysanie soków z całego kraju na rzecz stolicy było pierwszym zalążkiem choroby toczącej Francję. Jakże dwór paryski odbiegł od prostoty jeszcze z czasów Henryka IV! Słowa jego o kurze

w garnku mądrzejsze było od wszystkiego co po nim nastąpiło. Ludzie wnikliwi, badający ustrój Francji, biorąc za miernik Anglję, coraz bardziej przekonywali się, że coś w tym ustroju zostało skrzywione, popsute, że olbrzymia machina państwowa wprawdzie jeszcze idzie, ale coraz to zacina się jakiś tryb czy sprężyna. I tak też było. W Paryżu panowała względna swoboda i możnaby powiedzieć demokracja, właściwa zresztą każdej stolicy, na wsi ustrój feudalny. Korona korzystała z nimbu wszechwładzy, nie zasługując w oczach poddanych na to stanowisko jak jedynie wystawnością dworu, bogactwem przyjęć i stawała się w zasadzie coraz bardziej igraszką w rękach kamaryli. Tak więc krytyka w wszelkiej formie, od pamfletu i ulotki, od ulicznej piosenki i karykatury do dzieł poważnych — słynna „encyklopedja" wychodziła od r. 1763 — poczęła atakować obecny stan rzeczy. Nietylko J. J. Rousseau, de Montesquieu, Diderot i „encyklopedyści" przyczynili się do zdarcia glorji z „ancien régime'u", uczyniły to też drobne, jak szpilki kłujące, wierszyki, dowcipy a w wysokim stopniu — teatr.



Powyżej: François-René Molé, sławny aktor francuski kreował na premjerze „Wesela Figara" postać Almavivy.



Po lewej: Scena z „Chorego z urojenia" Moliera wg. sztychu Le Pautre'a

Premjera „Wesela Figara" stała się ewenementem, ba! — skandalem. Rzucono się na Beaumarchais'go: zarzucano mu nieobyczajność, brak taktu, gburowatość w traktowaniu tematu. Krytyka szalała: przecież ten hrabia Almaviva to zwykły brutal chcący uwieść pokojówkę swej żony, a żona podkochuje się w swym pasierbie! Sam Almaviva jest typem kapitalnym; łączy on bufonowatą nieco pewność siebie z mniej lub więcej wytwornym epikureizmem, za nic sobie ma przykazania niepisanej etyki, jednem słowem jest typem przeciętnego arystokraty francuskiego, oczywiście w tem gorszem wydaniu, jakie najwięcej drażniło ludzi krytycznie do ówczesnego ustroju usposobionych. Chociaż akcja „Wesela Figara" rozgrywa się w Hiszpanji, w fikcyjnej miejcowości Aguas Frescas, to jednak autor myśli oczywiście o Francji tak, jak w „Listach Perskich" Monteskjusza nie chodzi o Persję, lecz również o Francję. Dopiero na tle codziennego życia uwypukla się mała wartość moralna Almavivy, a konfrontacja hiszpańskiego granda z jego sługą, dodaje temu moralnej wartości. Oczywiście, że takie nieliczenie się z socjalnem stanowiskiem Almavivy musiało zaboleć współczesnych widzów, a udzielenie słudze tak dużej roli było wówczas nowością. Sam Figaro drwi najwyraźniej ze swego pana i wystawia go na pośmiewisko! Widzowie teatru, panie i panowie z dworu, z „towarzystwa", uczuli się dotknięci do żywego. Nie pierwszy raz zresztą krytykowano pana de Beaumarchais: jego komedja „Eugénie" i „Deux Amis" również wywołały liczne komentarze

W pierwszem wydaniu „Wesela Figara" wyszłem w r. 1785 u księgarza Ruault, w Palais Royal „près le théatre nr. 216", Beaumarchais zaopatrzył swą sztukę dużym wstępem, w którym rozprawił się z swymi wrogami. Wstęp ten jest niebywale ciekawy, zapoznaje on nas bowiem „na gorąco" z pojęciami ówczesnych ludzi, jest polemiką tak barwną i żywą, jakby się toczyła wczoraj.



W kole: Najsłynniejszy aktor angielski Garrick na scenie, wg współczesnego sztychu.

Zarzucano autorowi niemoralność dlatego, że przedstawił arystokratę chcącego uwieść pokojówkę żony. Czyżby ten temat nie zdarzał się nigdy poprzednio na scenie francuskiej? Owszem, tylko nie traktowano tej kwestji poważnie, mówiono o niej z uśmiechem, jak o dobrej anegdocie nieco pikantnej, a zresztą nikomu nie przyszło do głowy zbytnio się tem przejmować. Zdarzenie nader częste, nie zasługiwało na uwagę, — jeżeli chodzi o ofiarę — z powodu jej socjalnego stanowiska. Podobnie pisano o wielu rzeczach mogących zaniepokoić moralistę ale tonem tak lekkim, tak nonszalanckim, tak pozbawionym głębszej myśli, że sama rzecz przechodziła koło uszu widzów nie budząc głębszych refleksyj poza porozumiewawczem mrugnięciem oka. A tu po raz nieomal pierwszy, od czasów może Molièr'a, autor bierze te różne drobiazgi życiowe poważnie, peroruje na ten temat, i co gorsze, twierdzi, że są one zagadnieniami socjalnemi! Sam Figaro jest rewoltujący: ma zawsze rację, jest sprytny, i w wielu okazajach góruje nad swym panem, którego zresztą przewyższa szlachetnością. Bywalcy teatrów nie mogli tego zapomnieć autorowi: stereotypowy służący i pokojówka, grający w komedjach przeszłości tak dużą rolę jako łączniki akcji w sztuce, byli raczej technicznemi „chwytami", niż osobami z duszą i sercem. Byli meblem znajdującem się w domu człowieka „dobrej kompanji", ale nie stawali się zagadnieniem jako tacy. Beaumarchais w swej replice danej krytykom, mówi, że nie to jest niemoralnością, iż porusza się bolesne strony życia społecznego, lecz to, że nie zaopatruje się ich w odpowiedni komentarz i morał. I słusznie powołuje się na starych autorów, gdzie zawsze nicią przewodnią jest jakaś zbrodnia czy grzech w „Makbecie" królobójstwo, w „Edypie" i „Fedrze" kazirodztwo, w „Mahomecie" Voltaire'a zabójstwo itd. On pierwszy jednak, wyszedłszy z szablonu uwitego z girland rokoka, z wianuszków równie dobrze wieńczących bohatera, jak podejrzanej konduity piękność dworską, wskazał palcem na bolączki społeczne i nie chciał dać miłego wodewilu ani komedyjki a sztukę, która sięga do głębi zagadnień.

„Wesele Figara" jest dzisiaj piękną operą, lecz nie pulsuje w niej żadne palące zagadnienie, nie wzrusza nas aktualnością. Mówimy sobie: dobre dawne czasy! Ustąpiła ona rolę budzenia sumień innym, aktualniejszym. A teatr, owo „enfant terrible" w dalszym ciągu wygłasza swe niedyskrecje...

Jan Maleszewski.

Poniżej: „Dwaj panowie z Werony" Szekspira, wg angielskiego sztychu z XVIII w.



Panie, o których mówi stolica:



Powyżej: P. Marja Rudniewska uprawia z zamiłowaniem sport jazdy konnej.

MARJA RUDNIEWSKA

Rozmach szerokich, wolnych przestrzeni, świeżość uczuć, pogodę serca i zrozumienie ludzkiej niedoli, wszystko to, co daje szczera, polska wieś swoim mieszkańcom, wniosła z sobą na grunt Warszawy, jako urodzona ziemianka p. Marja Rudniewska. Łącząc te zalety ducha z walorami zewnętrznymi, młodością, urodą i elegancją, zdobyła sobie też p. Rudniewska ogólną sympatję w szerokich kołach towarzyskich stolicy, jak również i uznanie na polu pracy społecznej.

Pani Marja jest żoną dyr. Romana Rudniewskiego, znanego pioniera na polu radja i motoryzacji kraju, a córką Bogdana Zalewskiego, obywatela podlaskiego, zasłużonego działacza i posła do Dumy, z okresu najsroższych prześladowań kościoła katolickiego na Podlasiu.

Pani Mysia, tak bowiem jest powszechnie nazywana przez swych znajomych, przechowuje z pietyzmem fotografję z okazji swych urodzin, na której figuruje jako niemowlę w poduszkach, w otoczeniu licznego grona wieśniaczek i wieśniaków w pięknych regjonalnych strojach podlaskich.

— To wszystko moi rodzice chrzestni — objaśnia p. Mysia. Ojciec mój bowiem, gdy wreszcie wydano ukaz tolerancyjny, dla zamanifestowania nierozerwalnej łączności ludu podlaskiego z kościołem katolickim, zaprosił pięć par najstarszych wiekiem włościan, aby mnie trzymali do chrztu.



W kole: ...a również uroczo wygląda w wieczorowej tualecie...

Żyje z nich jeszcze jeden, staruszek przeszło stuletni. Cieszy się zawsze ogromnie, gdy mnie widzi i z dumą nazywa swoją córką chrzestną.

— A jak się pani czuje jako z krwi i kości ziemianka na gruncie Warszawy? — pytam moją miłą rozmówczynię.

— Widocznie cierpię na jakieś rozdwojenie jaźni — odpowiada z uśmiechem p. Mysia — bo zarówno dobrze czuję się na wsi, gdzie mieszkam stale pół roku, jak i w Warszawie przez drugie sześć miesięcy. Zresztą duże miasto daje takie możliwości zainteresowań pod każdym względem, tyle tu jest pracy na polu społecznem, że mój „wsiowy" temperament i rozmach znajdują szerokie ujście. Należę do kilku towarzystw, między innemi do Opieki nad Polakami z zagranicy, Towarzystwa Opieki nad Weteranami z 63 roku, Tow. Op. nad dziewczętami z baraków, do LOPP, do Związku Jazłowieckiego b. wychowanek SS. Niepokalanek. Wszystkie te instytucje żyją przecież jedynie ofiarnością społeczeństwa, więc trzeba sporo energji i wysiłków, by zdobyć fundusze na ich potrzeby. Te wszystkie zbiórki, rauty, bale, koncerty, podwieczorki — ile to kosztuje pracy i czasu!

W majątku zaś naszym na Polesiu z równym zapałem oddaję się gospodarstwu; jeżdżę dużo konno. Dobra i kochana to wieś, lud niezepsuty wywrotowemi hasłami, jak to ma miejsce w niektórych okolicach, stosunek z dworem wprost patrjarchalny, więc też i praca w takich warunkach jest miła. Mamy już w naszej wsi konnego Strzelca, którego jestem prezesem, oddział LOPP. Marzę jeszcze o założeniu żeńskiego koła LOPP.

— Widzę z tego, że to podwójne życie pani ma jedną wspólną styczną — uzewnętrznienie energji życiowej w nader pięknej i owocnej formie.

— Pewną cząstkę tej energji zastrzegam sobie jednakże na mój wyłączny użytek — przerywa p. Mysia. Poza wszelkimi obowiązkami mam przedewszystkiem jeden i to najbardziej drogi memu sercu.

Pani Rudniewska prowadzi mnie do dziecinnego pokoju i prezentuje parę rozkosznych blondasków, bawiących się grzecznie w przykładnej zgodzie. Córeczka Lili i strasznie poważny „pan" Lolo. Dzieciaki wciągają mamusię do swej zabawy. Pani Mysia zapomina o całej swej powadze. W tej chwili jest tylko najmilszą, najszczęśliwszą mamusią.

— Tutaj oto kończy się moje „podejrzane" podwójne życie — mówi z radosną dumą młodej mamusi. **Zofja Ordyńska.**





Na lewo: Wojciech Kossak w swej warszawskiej pracowni w hotelu „Bristol".

Gody artystyczne Wojciecha Kossaka.

W sztuce Wojciecha Kossaka stopił się najszlachetniejszy aljaż: talent, kult bohaterstwa i honoru oraz miłości Ojczyzny. Po swym wielkim ojcu Juljuszu, który „zjawił się jak meteor na horyzoncie sztuki polskiej a świecił przez lat 50 jak słońce", objął Wojciech buławę hetmańską batalisty polskiego. Urodził się w Paryżu w noc sylwestrową 1857 r.

Sztuka Wojciecha Kossaka łączy współczesną epokę artystyczną z twórczością Norblina, Orłowskiego, Michałowskiego, Chełmońskiego i Juljusza Kossaka.

Od dziecięcych lat znajdował się Wojciech w atmosferze wielkiej sztuki swego ojca, oraz Henryka Rodakowskiego, najserdeczniejszego przyjaciela Juljusza Kossaka. Wojciech urodził się pod szczęśliwą gwiazdą, do chrztu trzymał go znakomity francuski batalista i malarz koni Horacy Vernet. Po swym chrzestnym ojcu odziedziczył Wojciech drugie swe imię Horacy. W roku 1874, po ukończeniu studjów gimnazjalnych w gimnazjum św. Anny w Krakowie, udał się Wojciech Kossak do ówczesnych Aten niemieckich, leżących nad Izarą, gdzie odbył sumienne studja malarskie w monachijskiej Akademji sztuk pięknych. Tam już w r. 1874 zdobył pierwszą nagrodę artystyczną, bronzowy medal. Na szczęście Kossak nie pozostał długo w atmosferze nudnych niemieckich profesorów i wrócił w r. 1877 do stolicy sztuki do Paryża, gdzie wstępuje do pracowni Bonnata, polecony przez Rodakowskiego. Temperament artysty i ambicja zaznaczyły się już wcześnie. Otóż, gdy w r. 1882 jury Salonu przyjęło jego portret, przedstawiający znaną francuską artystkę. Młody malarz niezadowolony z fatalnego powiększenia obrazu, wspiął się po drabinie w czasie uroczystego otwarcia wystawy i wyciął z ram swój obraz, otrzymując w zamian oklaski obecnych, oraz pochlebne wzmianki w paryskiej prasie, która stanęła w obronie skrzywdzonego polskiego malarza. W r. 1884 powrócił do kraju, gdzie poślubił swą czcigodną małżonkę i zamieszkał w Krakowie przez 10 lat, mając swoją pracownię na t. zw. Kossakówce, obok pracowni ojca, istniejącej do dzisiejszego dnia.

W tym okresie powstają obrazy, któremi zdobył Wojciech Kossak uznanie i niezmierną popularność całej Polski. Są to dzieła, znajdujące się na obecnej jubileuszowej wystawie, jak „Wspomnienia z lat dziecinnych", przedstawiające szarżę czerkiesów na bezbronną ludność Warszawy, w r. 1861. W tym okresie powstaje cykl obrazów z 1831 r., z których najsłynniejszym jest „Bitwa pod Grochowską Olszynką".

Znakomity organizator artystyczny Jan Styka, zaproponował mu w tym czasie, t. j. w r. 1892 współpracownictwo w „Panoramie Racławickiej". Panorama otwarta w roku wystawy krajowej lwowskiej w 1894 r., zdobyła olbrzymie powodzenie. Natychmiast po jej ukończeniu utworzyło się nowe konsorcjum polskie, które powierzyło Wojciechowi Kossakowi i prof. Fałatowi wykonanie panoramy „Berezyny", w której wykonaniu brał udział również znakomity pejsażysta Michał Wywiórski. W czasie wykonywania panoramy miał Wojciech Kossak sposobność zapoznać się z interesującym się



Najnowsze zdjęcie sławnego artysty, w ogrodzie jego krakowskiej posiadłości.



Powyżej: Pierwsza generacja malarskiej dynastji Kossaków: Juljusz Kossak, według portretu Leona Wyczółkowskiego.



Willa artysty w Krakowie przy placu imienia jego ojca.

Na prawo. Mistrz Kossak w towarzystwie swej córki p. Magdaleny Starzewskiej i zięcia por. Jerzego Jasnorzewskiego w salonie swej willi.





Portret generała Weygand.

wielce pracą polskich artystów cesarzem Wilhelmem II. Cesarz zachwycony talentem Wojciecha Kossaka, ofiarował mu wówczas stanowisko nadwornego malarza i pobyt na zameczku w Monbijou. W tym okresie Wojciech Kossak wymalował w Berlinie szereg scen batalistycznych z czasów Fryderyka Wielkiego i epoki napoleońskiej, oraz liczne portrety niemieckiej arystokracji. W czasie pobytu na dworze berlińskim otrzymał propozycję wymalowania trzeciej panoramy „Bitwy pod Samosierra". Kossak wyjechał do Hiszpanji razem z Michałem Wywiórskim, a opracowawszy odpowiednie plany i szkice, rozpoczął starania o wykonanie panoramy w Warszawie. Niestety ówczesny generał-gubernator warszawski ks. Imeretyński odmówił prawa wystawienia tej panoramy w państwie rosyjskiem, mimo pisemnej interwencji cesarza Wilhelma II, w Petersburgu. Wobec powyższego faktu, zmieniono projekt panoramy Somosierry na panoramę bitwy pod Piramidami. Po skończeniu tego dzieła powrócił Kossak do Berlina, gdzie oczekiwały go nowe zamówienia ze strony dworu pruskiego. Był to okres pierwszych wystąpień antypolskich Bismarcka, czasy procesu wrzesińskiego i mowy malborskiej. Kossak, jako Polak, nie mógł znieść deptania swego narodu i opuścił dwór cesarski, udając się do kraju. Niekrępowany tematami wyszukiwał w tym okresie twórczości momenty z naszych dziejów, które odpowiadały mu jak najbardziej, a mianowicie dzieje epoki napoleońskiej i kampanji polskiej z r. 1831.

Twórczością swoją, poświęconą kultowi bohaterstwa, wychował Wojciech Kossak trzy pokolenia rodaków, a dzięki jego sztuce, bohaterskie walki żołnierza polskiego nie są dla Polaków tylko historycznemi faktami, lecz stały się przeżyciami, przeżywanemi wewnętrznie przez miljony Polaków, dzięki plastycznym kossakowskim wizjom.

Sławiąc w mocnych malarskich kompozycjach męstwo Bartosza Głowackiego czy gen. Sowińskiego, lub napoleońskich wiarusów, zasiewał Wojciech Kossak posiew kultu bohaterstwa i miłości Ojczyzny! Budził z uśpienia dusze polskie do walki z przemocą. Sztuka Kossaka stała się znamienitem przysposobieniem duchowem obywateli polskich na obecnych żołnierzy Rzplitej.

W dobie niewoli ilustrował Wojciech Kossak w malarstwie, podobnie jak Henryk Sienkiewicz w literaturze, dzieje oręża polskiego. Natomiast gdy państwo nasze zarysowało się ponownie na mapie Europy, Wojciech Kossak poświęcił swą sztukę gloryfikacji młodego żołnierza Polski współczesnej.

W sztuce powojennej Kossaka przebija tak rzadka u nas, wybuchowa radość ze zdobycia niepodległości i wielka wnikliwość w duszę współczesnego żołnierza.

Muzea nasze i obce posiadają cykle kompozycyj batalistycznych, opiewające męstwo polskiego żołnierza w walce z bolszewickim najeźdźcą.

Sztuka Wojciecha Kossaka stała się niezwykle popularną i zbłądziła pod strzechy. Dziś niema domu polskiego, w którymby nie znalazła się bodaj jedna reprodukcja z obrazów Wojciecha Kossaka, które zrosły się z tradycyjnem wnętrzem polskiego domu.

Z najmniejszego obrazka kossakowskiego przebija uczucie miłości ludu i polskiego żołnierza.

Wojciech Kossak w czasie swej 60-letniej działalności artystycznej zdobył najwyższe zaszczyty i nagrody, a sława jego stała się wszechświatową.

M. Dienstl-Dąbrowa.

Poniżej: „Orlęta".





„Kirasjer napoleoński".



„Śmierć gen. Sowińskiego na Woli".



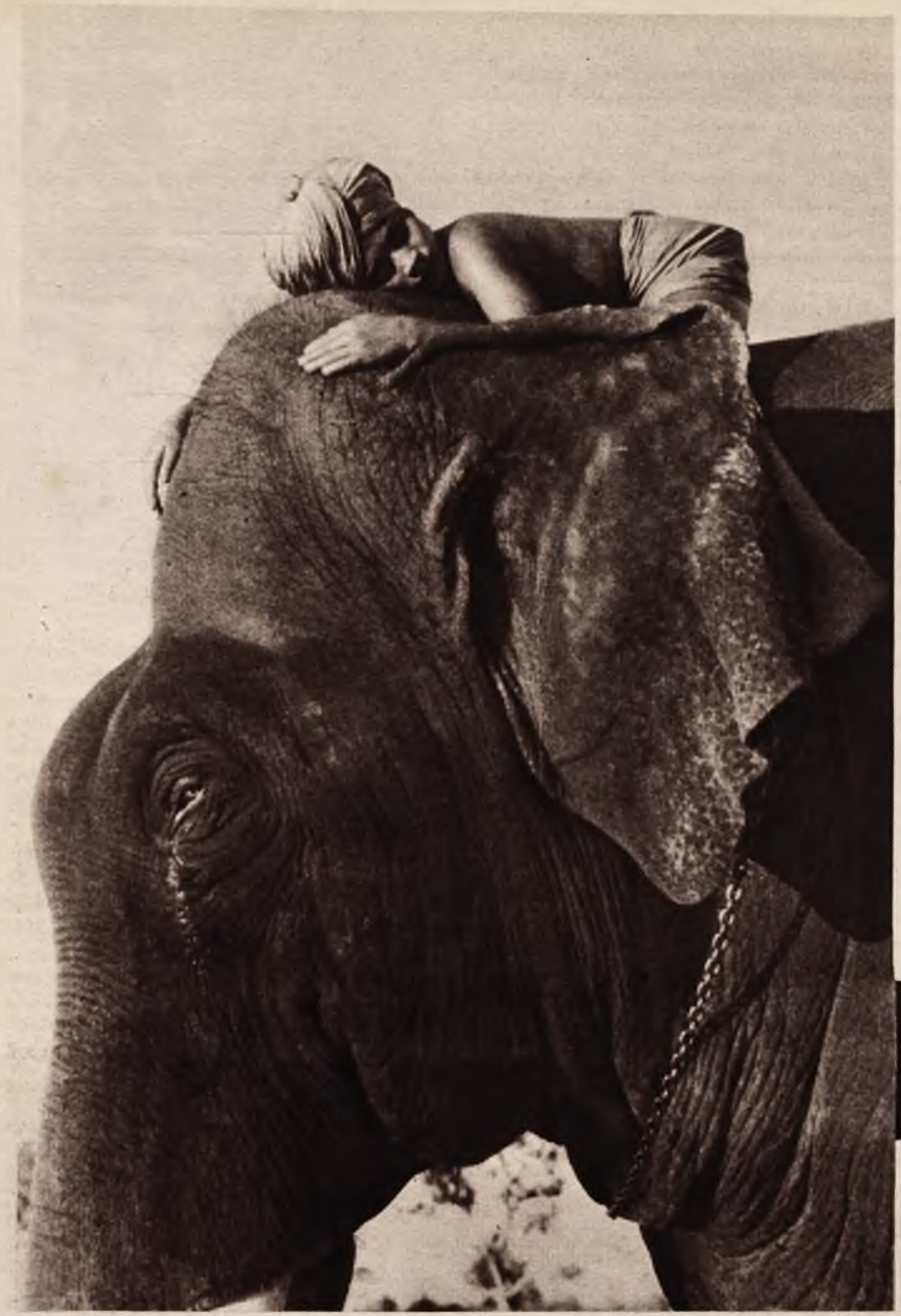
„Bitwa pod Kirchholmem".

WSZYSTKIE ZDJĘCIA: FOT. „AS".

Poniżej: Wilhelm II podczas pozowania w pracowni berlińskiej Kossaka.



TOOMAI – PRZYJACIEL SŁONI





W kole: Mamusi ynkiem zażywa kąpieli.



Poniżej: Posiadając pomoc słonia nie potrz używać drabiny przy wchodzeniu na dach!



Szczera przyjaźń łączy Toomai z dobrotliwym olbrzymem „Kala Nag".

Na lewo: Ciało słonia posiada pewne zalety architektoniczne: przecież nogi jego to istne kolumny doryckie czy jońskie!

Jakby dla kontrastu wyposażyła natura jedno z największych swych zwierząt w najbardziej łagodny charakter. Nie należy jednak sądzić, aby słoń był niedołęgą, poprostu mówiąc „fajtłapą". Bynajmniej! Jest on świadom swej siły, ale, tak jak ludzie stojący bardzo wysoko ponad otoczeniem, patrzy z pobłażliwością na mniejszych i obchodzi się z nimi łagodnie. Nie było człowieka, któryby lepiej poznał charakter tego pięknego stworzenia, niż niedawno zmarły Rudyard Kipling. Z szczerą miłością opisał słonia w swej „Księdze Dżungli", a następnie w „Życiu słonia".

To, co nam opowiada wielki autor angielski, jest nieraz wzruszające: epizody liczne świadczą o wysokiej mądrości słonia, o jego rozsądku, dobroci i wielkim orjentacyjnym zmyśle. — Możnaby zarzucić temu obrazowi, że jest wytworem fantazji. Zarzut ten byłby omyłką — Kipling przeżył bowiem wiele lat w Indjach i żył się z słoniami jak z najlepszymi towarzyszami: poznał też ich charakter bardzo dokładnie.

Oto opowiada on o sierocie hinduskim, chłopcu Toomai, który wychował się wśród słoni i cieszy się ich przyjaźnią. Toomai jest szczerym przyjacielem zwierząt. Rozumie je. Posiada to zrozumienie psychologji zwierząt, które dać może tylko długotrwałe obcowanie z niemi. Wola też tego dwunastoletniego chłopca jest wyrocznią dla olbrzymów: słuchają go i wykonują wszelkie rozkazy. Ta dziwna symbioza chłopca z oddanemi jego opiece olbrzymami ma w sobie coś wzruszającego, coś, co przeczy prozie życia, jego bezwzględności, a każe wierzyć w wrodzoną dobroć stworzeń Bożych. Nic więc dziwnego, że tak piękne opowiadanie Kiplinga stało się wdzięcznym tematem dla filmu. Aleksander Korda, obecny dyktator filmu angielskiego, zakupił swego czasu za 25 tys. funtów sterlingów prawo zużytkowania „Życia słonia" w filmie i oto niedawno temu przystąpiono do realizacji tego obrazu. Pracę inscenizacyjną i reżyserską powierzono specjaliście w tego rodzaju filmach, mianowicie Robertowi Flaherty. Od kilku miesięcy już „cameraman" z nastawioną do „strzału" bronią czyna na ciekawe sceny z życia słoni, aby je utrwalić na wstążce filmowej. Zdjęcia odbywają się w Indjach, a tytuł filmu brzmi „Dziecko słoni". Jak widzimy z naszych ilustracyj będzie to naprawdę piękny obraz.

John.



Dosiadanie słonia nie jest rzeczą łatwą, ale „Kala Nag" pomaga jeźdźcowi.



Na prawo. Sylwetka „Kali Naga" przypomina olbrzyma przedpotopowego.

HALLO! HALLO! CZY MÓWI SIĘ DALEJ?

■ — Hallo — czy to pan, panie Henryku? Dlaczego pan tak dawno do mnie nie dzwonił?..

■ — Próbowałem, panno Halino, ale niestety, pani telefon dawał od roku stale sygnał zajęcia...

■ — A możliwe, bo rozmawiałam z moją przyjaciółką — bardzo się cieszę, że pan znowu do mnie zatelefonował — zawsze się można od pana czegoś nowego dowiedzieć o polityce... co słychać na wsi?

■ — Oj, chłopi, jak chłopi, ze wszystkiego niezadowoleni — mówią, że zamiast koca, to wolelіby tę pierzynę, co im sekwestrator zabrał...

■ — Widzi pan — im nigdy nie można dogodzić.

■ — Bo też proszę pani — panno Halino — teraz to Polacy mają zupełnie inne aspiracje, niż przed wojną. Dawniej tośmy się cieszyli, jak Polak został ministrem kolei w Wiedniu, a teraz to już marzymy tylko, żeby jaki Polak został straganiarzem w Mińsku... Cierpimy teraz na przeludnienie. Potrzebne są nam kolonje, bo nie mamy surowców...

■ — A po co nam surowce?

■ — Żeby życie surowe prowadzić. Widzi pani, w zeszłym roku był łagodny rząd i łagodna zima, teraz będzie ostry rząd i ostra zima.

■ — A po co?

■ — No, bo żeby łagodnie przetrzymać ostrą zimę, na to trzeba ostrego rządu. Społeczeństwo musi przyjść z pomocą bezrobotnym, nie mającym posad.

■ — A rząd, panie Henryku...

■ — Rząd, proszę pani, ma już dosyć kłopotu, żeby przyjść z pomocą tym „bezrobotnym", którzy mają posady państwowe. Ale najlepiej jest w Hiszpanji — tam czerwonym jest już tak gorąco, że nie potrzebują zupełnie pomocy zimowej.

■ — A czy są jakie widoki na lepsze?

■ — O tak, będziemy teraz robić wełnę z mleka. Już sam zamówiłem sobie ubranie ze słodkiej śmietany, smoking z kefiru i frak z joghurtu...

■ — Jednem słowem, będzie pan ubrany „prosto od krowy"...

■ — I trzeba będzie zmienić przysłowie „Krowa, która dużo ryczy, mało wełny daje"... Ale najgorzej to znowu teraz będzie na wsi — właściciel każdej obory będzie musiał płacić podatek od składu materjałów tekstylnych.

■ — A te biedne krowy! — Przecież gospodarze będą teraz wołać: „Magda, wydój jeszcze ze trzy metry kamgarnu...".

■ — Ale à propos „doić"... Czy czytała pani o tym procesie urzędników skarbowych w Radomiu? Izba skarbowa to — jest też taka dojna krowa — tylko z niej nie będziemy mieli sukna, lecz płótno w kieszeni.

■ — A co słychać w wyższych sferach? — panie Henryku.

■ — W najwyższych — rozwody...

■ — Jak to najwyższych?

■ — Rozwodzi się Amy Johnson ze swym mężem lotnikiem Mollisonem. Bo okazało się, że ona jest „latającą dziewczyną", a on „chłopcem latającym za dziewczynami". Poza tem w wyższych sferach są też i śluby. Niebawem ma się odbyć wesele holenderskiej następczyni tronu z księciem niemieckim...

■ — A co słychać w Niemczech?

■ — Podobnie jak u nas — przeróbka nabiału — z masła mają robić bawełnę strzelniczą — no i armaty....

■ — Aha, ale à propos armaty, co nowego w Sowietach?

■ — Tam jest znowu odwrotnie, tam trzeba wysyłać na wieś armaty, aby wydobyć od chłopów trochę masła i mleka.

■ — Ach! jak pan o wszystkiem świetnie jest poinformowany. To może mi pan jeszcze powie, co się dzieje w Hiszpanji?

■ — To kraj o ruchomej stolicy — letnia stolica była w San Sebastian, jesienna stolica w Madrycie, na ciężką zimę rząd przeniósł się do Barcelony, a na wiosnę wyjedzie do Moskwy...

■ — Ach, jak jestem panu wdzięczna za te wyjaśnienia — a chodzi pan do kina?

■ — O tak — uwielbiam film. Byłem już na „Niebieskim aniele", na „Białym aniele", na „Czarnym aniele".

■ — No i co?

■ — I teraz stwierdzam, że — nie jestem aniołem, brak mi anielskiej cierpliwości do oglądania filmów z Los Angeles — czyli miasta upadłych aniołów.

■ — Panie Henryku! a jak długo mógłby pan chodzić na polskie filmy?

■ *„Trzy minuty — czy mówi się dalej?*

■ — Nie, proszę pani, o tem się nawet myśleć nie chce... Pani Halino — polecam pani film z Marleną... Hallo!? — Co już przerwano rozmowę?! Proszę zapisać te trzy minuty na rachunek mojej rozmówczyni — dziś jest dzień oszczędności.

Mikrofon.



Ks. Juljanna holenderska bawi obecnie wraz z swym narzeczonym ks. zur Lippe-Biesterfeld na zamku Reckenwalde na Śląsku, należącym do matki księcia.



W bratobójczych walkach hiszpańskich bierze również udział 14-letni chłopak, który jest najmłodszym żołnierzem półwyspu pirenejskiego.

Poniżej: W Londynie na wystawie mleczarskiej odbył się oryginalny bieg mleczarek, przyczem „płotkami" były konewki do mleka.



Poniżej: Kierowniczka djalogów wytwórni „British — Gaumont" udziela wskazówek Marlenie Dietrich i jej partnerowi Robertowi Donatowi przed nakręceniem nowego filmu „Rycerze bez pancerza".



DR. J. REISS, PROF. UNIW. JAGIELL.

O tym, którego odkrył Bogusławski.

W Warszawie wzniesiono pomnik na jego wielkie zasługi dla teatru pol- cześć Wojciecha Bogusławskiego za skiego. Wspominając te zasługi, zapomniano o jednej, która dla sztuki naszej miała doniosłe znaczenie. Zapomniano mianowicie o tem, że Bogusławski odkrył Elsnera — a więc artystę, którego nazwisko złączone jest nierozerwalnie ze sceną polską, z operą polską i z Chopinem! Mówiąc o Józefie Elsnerze, ma się na myśli przedewszystkiem nauczyciela Chopina, lecz przez tak jednostronną ocenę jego zasług wyrządza się mu wielką krzywdę: Elsner bowiem rozwijał w Warszawie bogatą działalność na wszystkich polach kultury muzycznej w szlachetnem dążeniu, by prace jego „ogólnemu dobru narodu polskiego użyteczne były".

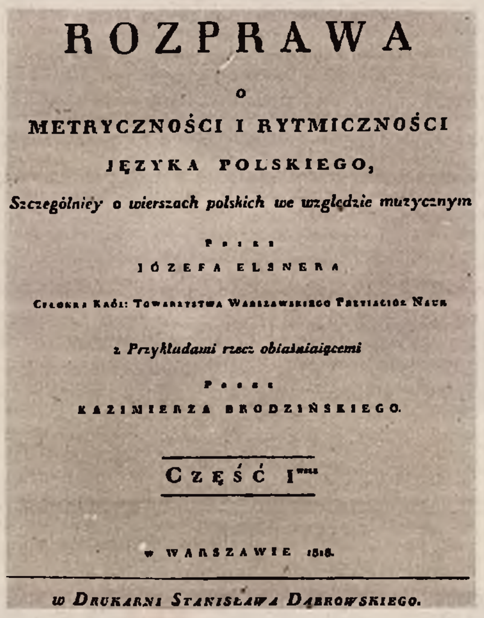
Niemiec z pochodzenia, urodzony na Śląsku w Grotkowie w okręgu opolskim, po osiedleniu się w Warszawie, gdzie przeszło lat pięćdziesiąt mieszkał, zżył się tak ze społeczeństwem polskiem, że stał się szczerym Polakiem. W czasopiśmie niemieckiem „Neue Zeitschrift für Musik", mówiąc w r. 1841 o Elsnerze, nazwano go „lepszym patrjotą, aniżeli tysiące rodowitych Polaków". Stosunek jego do polskości jest ciekawą zagadką psychologiczną.

Elsner wzrósł w atmosferze, wrogiej wszystkiemu, co polskie. Z ust ojca słyszał często łowa: „Mein Söhnchen, in Polen ist nichts zu holen". Gdy później został studentem teologji w uniwersytecie wrocławskim, gdzie z rozkazu rządu pruskiego wykładano także język polski, nie chciał się uczyć tego języka z niechęci do polskości i rzucił teologję, a przeniósł się na medycynę. „Gdybym mógł przeczuć, jakie będą późniejsze koleje mego życia, jakże byłbym gruntownie uczył się języka polskiego!" — tak mówi w swoim pamiętniku. Ale równocześnie poznał w Wrocławiu na chórze XX. Dominikanów polską pieśń kościelną! W mieście rodzinnem słyszał pieśni polskie, które śpiewał lud w kościele, a z ludem całym śpiewał je także jego — ojciec! Jedna z tych pieśni „Panie, kocham Cię", głęboko wryła się w jego pamić. Główny temat jego „Stabat Mater", skomponowanego w 70 lat później, wzięty jest właśnie z tej polskiej pieśni! Równie silne wrażenie wywarła na Elsnerze pieśń, śpiewana na Boże Ciało, którą już jako starzec zanotował, widząc w niej wzór „pięknej melodji, należącej do najszczęśliwszych natchnień muzycznych swego czasu". Pieśń polska dokonała tajemniczego przeobrażenia w duszy Elsnera, magiczny czar tej pieśni owionął go tak, że do późnej starości dźwięczała mu swym odrębnym tonem i z zaciętego Niemca uczyniła „jednego z najlepszych patrjotów polskich".

Ale sprawcą tego niezwykłego przeobrażenia duchowego był prócz pieśni polskiej wielki znawca serc, wielki aktor, dyrektor teatru polskiego, Wojciech Bogusławski. — Gdzie spotkali się obydwaj pionierzy naszej kultury dramatycznej, obydwaj budowniczy polskiej opery? Miejscem spotkania był Lwów. Józef Elsner nie skończył wydziału medycznego w Wrocławiu, lecz idąc za głosem powołania, poświęcił się muzyce. Po ukończonych studjach muzycznych objął najpierw obowiązki w orkiestrze teatru w Bernie morawskiem, a następnie powołany został na stanowisko kapelmistrza niemieckiej opery we Lwowie w r. 1792. W dwa lata później przybywa tu po upadku powstania Kościuszkowskiego z Warszawy Wojciech Bogusławski i bystrem okiem ocenił odrazu wartość Elsnera i jako kapelmistrza i jako kompozytora. Postanowił więc pozyskać go dla teatru polskiego.



Józef Elsner, według litografji z r. 1850.



ROZPRAWA
o
METRYCZNOŚCI I RYTMICZNOŚCI
JĘZYKA POLSKIEGO,
Szczególniey o wierszach polskich we względzie muzycznym
przez
JÓZEFA ELSNERA
Członka Kaód: Towarzystwa Warszawskiego Przyiacioł Nauk
z Przykładami rzecz obiaśniaiącemi
przez
KAZIMIERZA BRODZIŃSKIEGO.
CZĘŚĆ Iwsza
w WARSZAWIE 1818.
w DRUKARNI STANISŁAWA DĄBROWSKIEGO.

Karta tytułowa „Rozprawy" Elsnera z r. 1818.

Bogusławski odkrył Elsnera! Wiedziony niezawodnym instynktem, widział w nim przyszłego twórcę polskiej opery, jakkolwiek Elsner wtedy nie władał jeszcze językiem polskim! Lecz to nie stanowiło przeszkody dla Bogusławskiego. Pracował tak długo z Elsnerem, dawał mu tyle cennych wskazówek, że Elsner mógł bez większych trudności komponować do tekstów polskich i nakoniec odważył się na napisanie muzyki do melodramatu Bogusławskiego „Iskahar". Zachwycony Bogusławski tak o tem pisał w swych „Dziejach teatru narodowego w Polsce":

„Muzyka, pierwsze dzieło przez Jaśnie Pana Józefa Elsnera dla sceny polskiej napisane, we wszystkich częściach swoich do przedmiotu stosowna, wspaniała i czuła, najprzyjemniej krasiła tę sztukę i dowodziła coraz bardziej jego wzrastającego w kompozycji talentu".

Elsner stał się sławny. Niektóre arje z „Iskahara" zdobyły wnet popularność; śpiewano je po całej Galicji. W r. 1799 wrócił Bogusławski do Warszawy, a z nim nowy przyjaciel i nowa sława opery polskiej: trzydziestoletni Józef Elsner, jako dyrygent opery warszawskiej! Przez lat dwadzieścia pięć zajmował Elsner to stanowisko, a zarazem obdarzył scenę polską dwudziestoma operami, z których niektóre stały się podwaliną narodowego stylu w naszej operze. Należą tu: „Leszek Biały" do tekstu L. A. Dmuszewskiego, „Łokietek król czyli Wiśliczanki", jego najlepsze i najpopularniejsze dzieło „Jagiełło w Tenczynie". Długoletnia działalność Elsnera w operze warszawskiej była niezmiernie cenna. Elsner bowiem podniósł poziom repertuaru, pracował nadzwyczaj sumiennie, przygotowywał zawodowych śpiewaków, a w chwilach groźnego załamania się opery warszawskiej, nie szczędził zabiegów, by ją od upadku ratować.

* * *

Jednym z głównych celów pracy Elsnera było utrzymanie kontaktu z Zachodem. Środkiem, wiodącym do tego celu, były korespondencje o warszawskich stosunkach muzycznych, przesyłane do wpływowej ówczesnej gazety niemieckiej „Allgemeine Musik-Zeitung" w Lipsku. Pierwsza korespondencja, umieszczona w styczniu 1805 r., przedstawiała w pochlebny sposób stan naszej muzyki i podkreślała wrodzoną nam muzykalność. Oto, co pisał Elsner: „W Warszawie jest znakomita orkiestra, a teatr polski ma takie śpiewaczki, które mogłyby śmiało stanąć obok najlepszych śpiewaczek niemieckich. Panuje tu przesąd, że język polski nie nadaje się do śpiewu z powodu nadmiaru spółgłosek: tymczasem trzeba słyszeć mowę wykształconych Polaków, by się przekonać, jak melodyjny jest ten język i jak pięknie brzmi w ustach śpiewaczki".

Zagadnienie „śpiewności" naszego języka zajęło Elsnera od pierwszej chwili pobytu w Polsce. Poświęcił temu zagadnieniu małą rozprawkę niemiecką, drukowaną dwukrotnie w czasopismach niemieckich, a następnie starał się opracować je szczegółowo w obszernej rozprawie „O metryczności i rytmiczności języka polskiego", gdzie w zdumiewający sposób wniknął w ducha naszego języka i jego melodyjność. Część pierwszą drukiem ogłosił, część druga została w rękopisie w bibljotece XX. Czartoryskich. Poza wartością rzeczową zawiera rozprawa Elsnera wiele cennych uwag o muzyce polskiej, a zwłaszcza o naszych formach tanecznych: że Elsner zachwycał się polonezem i sam próbował swych sił jako kompozytor polonezów, to nie dziw; przecież polonez był wtedy reprezentacyjną formą muzyki polskiej; kompozytorzy niemieccy pisali polonezy na tuziny, starając się pochwycić zasadnicze cechy naszego tańca. Rzecz jasna, że to nigdy im się nie udało, bo — jak słusznie zauważył Elsner — „polonezy fabrykowane zagranicą mogą być dobre jako muzyka, ale są one tak podobne do prawdziwych polonezów, jak menuety w symfonjach Haydna są prawdziwemi menuetami".

Jako pionier kultury muzycznej starał się Elsner zmienić zaściankowe stosunki ówczesnej Warszawy: ażeby podnieść produkcję muzyczną, założył sztycharnię nut i wydawał zbiory drobnych kompozycyj każdego miesiąca. Wielbiciel muzyki kościelnej, powołał do życia „Towarzystwo przyjaciół muzyki kościelnej i narodowej", które wykonywało



Odsłonięcie pomnika W. Bogusławskiego w Warszawie.

arcydzieła mistrzów zachodnio-europejskich, msze, kantaty i oratorja. Własne oratorjum Elsnera „Męka Jezusa Chrystusa czyli triumf Ewangelji" uznane zostało za najlepsze jego dzieło; wykonywano je w Warszawie (1838 i później), w Wilnie i w Petersburgu, gdzie zarazem pojawiła się fachowa ocena tego dzieła, stawiająca je bardzo wysoko.

* * *

Właściwy Elsnerowi zmysł organizacyjny wystąpił w całej pełni w jego działalności pedagogicznej. Po wielu zabiegach i staraniach założył Elsner przy poparciu ówczesnego ministra oświaty, Staszica, Konserwatorjum muzyczne i stanął na jego czele jako pierwszy rektor w 1820 r. Zgodnie ze statutem szkoła ta należała do „Królewskiego Uniwersytetu warszawskiego", a rektor Konserwaorjum otrzymał zarazem nominację na „profesora estetyki i kompozycji praktycznej"; naturalnie, że teoretyczne wykłady wygłaszał Elsner w Uniwersytecie, a lekcje praktyczne kompozycyj i kontrapunktu prowadził w Konserwatorjum. Tutaj to we wrześniu 1826 uczniem jego na pierwszym kursie harmonji i kontrapunktu został szesnastoletni Fryderyk Chopin.

Przez trzy lata słuchał Chopin wykładów Elsnera. Zasługa mistrza wobec genjalnego ucznia polegała na tem, że Elsner nie krępował twórczej indywidualności Chopina. Przekonawszy się, że wszelkie formuły i normy szkolne muszą załamać się wobec ucznia, którego najlepszym nauczycielem był własny genjusz, pozostawił mu wszelką swobodę: a więc nie zmuszał Chopina do komponowania tych form, które mu były obce, jak symfonje orkiestralne lub dzieła kościelne, msze czy oratorja, lecz pozwalał mu ograniczyć się do tego instrumentu, który był Chopinowi najbliższy, tj. do fortepianu. — Wielka skromność Elsnera sprawiła, że widząc olbrzymie postępy w nauce Chopina, nie przypisywał sobie w tem żadnej zasługi. W jednym z listów, pisanych później do Chopina nazwał się „szczęśliwym, ale mało zasłużonym nauczycielem harmonji i kontrapunktu". Wzajemny stosunek przyjacielski, jaki wytworzył się między Elsnerem a Chopinem, przywiązanie i zaufanie Chopina do swego mistrza, jest jednym z najpiękniejszych pomników, wystawionych Elsnerowi jako wielkiemu pedagogowi.



Wojciech Bogusławski, według współczesnej ryciny.



Pomnik Chopina, dłuta Wacława Szymanowskiego, w parku łazienkowskim w Warszawie.

Z bogatej twórczości kompozytorskiej Elsnera dzisiaj nic prawie nie zostało. Zapomniano o jego kompozycjach, które swego czasu były niezmiernie popularne. Jeszcze niezbyt dawno, bo przed wielką wojną grywano na uroczystościach narodowych uwertury Elsnera, zwłaszcza uwerturę z opery „Leszek Biały", a grały ją np. w Krakowie austrjackie orkiestry wojskowe pod kierunkiem doskonałego kapelmistrza 13 pp. Hocka; na scenie zaś również niedawno wystawiano „Króla Łokietka" czyli Wiśliczanki", operę, o której znawca tej miary, jak Władysław Żeleński powiedział, że obok „Krakowiaków i Górali" Stefaniego i Karpińskiego, jest ona „typem naszej muzyki narodowej i przyszłemu pokoleniu może być wzorem". Możeby teatr krakowski, tak szczęśliwy w wskrzeszaniu dawnych dzieł, pomyślał o wykonaniu tej opery Elsnera: trud nie byłby tak wielki, a zasługa piękna i należny hołd temu, którego odkrył Bogusławski.

ŻYCIE
TOWARZYSKIE i ARTYSTYCZNE

ŚLUB P. ANNY RATAJÓWNY



W kościele św. Aleksandra w Warszawie odbył się ostatnio ślub p. Anny Ratajówny, córki b. marsz. Sejmu, Macieja Rataja, z p. Tadeuszem Stankiewiczem, referentem Ministerstwa Przemysłu i Handlu, synem dyrektora Elektrowni w Częstochowie. Ślubu udzielił ks. prałat Kaczyński, a młoda para otrzymała liczne telegramy gratulacyjne z całej Polski. Na zdjęciu młoda para na tle portretu marsz. Rataja.

Fot. „As".

Z OPERY W ZAGRZEBIU



Po licznych sukcesach, odniesionych w Wiedniu, utalentowana śpiewaczka koloraturowa, p. Felicja Włodkówna, pochodząca ze Stanisławowa, wystąpiła z kilkoma koncertami w Dubrowniku i Zagrzebiu, jak również w jugosłowiańskiem radju. Koncerty p. Włodkówny spotkały się z nader korzystną oceny prasy, dzięki czemu uzyskała ona stałe engagement do Opery w Zagrzebiu, gdzie śpiewa obecnie główne partje w „Rigoletto" i „Cyruliku Sewilskim". Należy podkreślić, że nasza rodaczka wykonuje podczas swych występów zawsze kilka pieśni polskich, przyczyniając się do zapoznania zagranicy z naszą sztuką.

Fot. Willinger — Wiedeń.

MAŁY GOSPODARZ... →
Fot. Schostal.

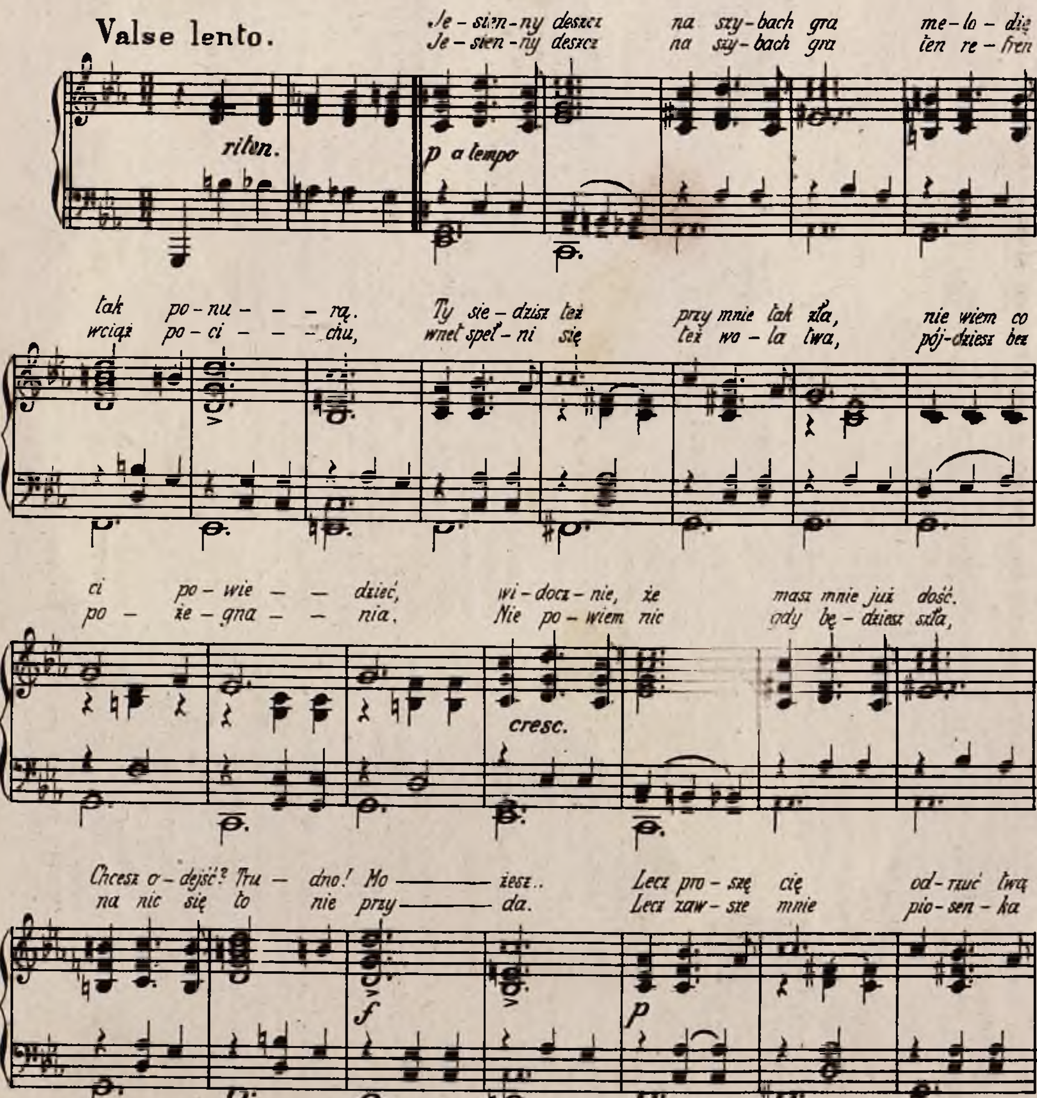


Pani J. Żaklickiej dedykowane

JESIENNY NOKTURN

PIOSENKA-WALC

Słowa i muzyka: ROMAN SCHNITZER







KAPITAN „FAI-TSI-LONGU"

ODCINEK 23.

Napisał H. WILD — POWIEŚĆ — Tłum. JULJA RYLSKA

ILUSTR. AL. ŻMUDA

— Jeśli to pani może sprawić ulgę, proszę, niech pani mówi... I proszę być przekonaną, że nie znalazłaby pani powiernika, bardziej współczującego i przejętego głębszym szacunkiem. Znam już panią...

I zaczęła mówić, prędko, gorączkowo. Głos jej o brzmieniu tak pięknem, wzruszał mnie, na równi z tym akcentem prawdy, z jakim opowiadała o swoim bólu.

— Kochałam go — mówiła — pokochałam odrazu... Wszystko przemawiało za tem, żeby go kochać! Pan Rancé ma słuszność. — I ocalił mnie jeszcze — wybawił od tego Martigues... któremu wierzyłam początkowo, tam w Swatow. To był mój błąd. Ale w mojem położeniu... Sama wśród tych ludzi — od pięciu lat odcięta od świata przez tego Chińczyka, którego nienawidziłam! — Martigues był pierwszym człowiekiem białym, człowiekiem mojej rasy, którego zobaczyłam... Tak bardzo pragnęłam uwierzyć w to, co mi mówił... obiecywał... Tak bardzo potrzebowałam opieki czyjejś... Nie znałam jego niecnych zamiarów. Obiecałam mu, że wyjdę za niego, jeżeli mnie oswobodzi od Mr Koo. Przecież winna mu byłam wdzięczność za to, co brałam za szlachetne usiłowania przywrócenia mi wolności... Zresztą, czyż jesteśmy w stanie zdawać sobie zawsze sprawę z tego, co odczuwamy naprawdę?

Spojrzała na mnie z bólem, jakby szukając u mnie pomocy w tej rozterce. Skłoniłem głową potakująco, w odpowiedzi na jej ostatnie pytanie.

— Ale jego, Harcourta, pokochałam odrazu — jeszcze wtedy, kiedyto, uciekłam po raz pierwszy, a on przyjął mnie na swą łódź... Kiedy w mej obronie stawiał czoło temu okropnemu kapitanowi... Wie pan o tem wszystkiem. Od tej chwili pokochałam go. A później, kiedy oswobodził mnie, należałam już całkowicie do niego — kochałam go ze wszystkich sił — podziwiałam go! — Ale potem, już na okręcie, kiedy zaczął mnie wypytywać... Byłam zakłopotana — obiecałam przecież panu Martigues... Wyobrażałam sobie, że człowiek ten ma prawo do mnie — że, jeśli po raz pierwszy, udało mi się uciec, to dzięki jemu... Wyrzucałam sobie, że łamię dane słowo — że to bardzo źle z mej strony... Wtedy właśnie on zaczął przemawiać do mnie — jakby to powiedzieć? — jak pan, jak władca... A ja mam moją dumę! Nie mogłam pozwolić, aby zawładnął mną! Nie rozumiałam narazie, że to ból wyrywał mu te słowa... Nie znałam go jeszcze, nie wiedziałam, do jakiego stopnia, był to człowiek namiętny, gwałtowny... I wtedy to, padały z ust naszych słowa, które otwierały coraz większą przepaść między nami! Zacięłam się w mojej dumie — a jego rozpacz popchnęła do tego, że uwięził mnie na statku — i do tych wszystkich szaleństw późniejszych.

Zamilkła na chwilę, dysząc ciężko. Mnie zaś wróciły na pamięć słowa Rancégo. Teraz już byłem pewny, że powodem całego tego nieszczęścia, było tylko okrutne nieporozumienie — że istotnie, tak z jednej, jak z drugiej strony, nie wymówiono wtedy tych słów, które należało...

— Coraz więc zaciętszy bunt wstawał we mnie — a równocześnie wzrastała moja miłość... Za każdą naszą rozmową stawałam się coraz twardsza — coraz zimniejsza. — O, gdyby mię był wtedy wziął w ramiona — gdyby był przemówił do mnie łagodnie — jakżebym była przywarła do jego serca! — Tam przy wyspach Hai-Tan, w nocy, w przeddzień katastrofy, słyszałam, jak mówił o mnie z przyjacielem... I wtedy dopiero zrozumiałam, co działo się w jego sercu i w mojem. — Postanowiłam nazajutrz przyjąć go i jego miłość — iść za tym porywem, który niósł mnie ku niemu! — Tak — ale nazajutrz obudził mnie wystrzał armatni — angielski statek zatrzymał nas... A jednak w ostatniej chwili przed śmiercią, kiedy pochwycił mnie w ramiona, dowiedział się, że go kochałam...

Przypomniałem sobie, co zaobserwował Rancé, kiedy gotował się do wywieszenia białej chorągwi na Fai-Tsi-Longu — i uradowałem się, że Harcourt umierał, mając pewność, że był kochanym...

— Ale było już zapóźno! — zaczęła znowu. — Za późno! — O Boże! Kiedy o tem myślę! Jakże łatwo, przez śmieszny upór, przez pychę, przez nędzną miłość własną, można zniszczyć swe życie — swoje szczęście! I nadszedł koniec: ta katastrofa, do której go doprowadziłam — i siebie z nim razem... Tak, siebie także! Bo od tej chwili nie przestaję myśleć o tem, czem byłoby życie przy nim — to moje życie, które poszło tak na marne...

— Wierzę pani — całą duszą wierzę! rzekłem, ujmując ją za rękę.

— Nie umarłam z nim wtedy — ale tylko dlatego, bo chciałam ocalić jego pamięć. Ostatnie słowa jego nosiłam w sobie... Ta gorzka radość została mi jedynie, że udało mi cię uwolnić jego pamięć od wszelkich zarzutów. Pan Vernod spotkał mnie w dwa lata później, w pewnym domu francuskim w Szanghaju. Byłam bardzo sama i bardzo smutna. On również pędził życie samotnie. Zaproponował mi, żebym wyszła za niego. Opowiedziałam mu, szczerze i uczciwie moje życie i tę tragedję... Powiedziałam mu, że do śmierci chcę zostać wierną pamięci tamtego... Wzruszyło go to bardzo — i mimo to, powtórzył swą prośbę, bym została jego żoną. Mówił, że wszystko, czego chce, to dać mi bezpieczne i spokojne życie. Jest to bardzo dobry człowiek — prawdziwy ojciec dla mnie... Powoli spokój powrócił mi. Przed chwilą mówiłam, że pragnę zapomnienia. Nie, to nie jest to, co chciałam powiedzieć. Pragnęłam tylko, by obrazy tej bolesnej przeszłości usunęły się nieco w cień. Ale wszystkie powróciły teraz — skończyła z rozpaczą, tłumiąc łkanie.

— Wszystko odżyło! — powtórzyła po chwili. — Przyjaciel jego wywołał znów z nieubłaganą siłą pamięć tych strasznych chwil w mej duszy. Widzę go takim, jakim był: szlachetny, dumny — i tę wielką jego miłość! Przeżywam moment ostatni, kiedy mnie wziął w ramiona i ten jego pocałunek, który oddałam mu — o, jakże miłośnie! — Wspomnienia te rozdzierają mi duszę...

Umilkła na chwilę, a potem dodała jeszcze:

— Pan Rancé musiał wspominać panu... Ta suknia, którą z taką radością

kupował dla mnie w Szanghaju... Mam ją zawsze — zachowałam ją, jak relikwję!

I rozpłakała się. Cały hart woli opuścił ją. Milczałem, bo jakichże słów mógłbym był użyć w tej chwili? — O panowała się wreszcie.

— Dziękuję panu — wyrzekła. — Proszę, niech pan powie panu Rancé, że nie byłam, ani pustą lalką, ani niewdzięcznem sercem! — Zgrzeszyłam tylko pychą...

— Tak — pomyślałem — pycha starła się tu z pychą. Dwie silne nieugięte natury — i stało się nieszczęście niepowetowane.

— A teraz proszę, niech mnie pan zostawi samą...

Skłoniłem się przed nią i całując ją w rękę, powiedziałem:

— Rancé dowie się o wszystkiem. — A pani niech mu przebaczy...

I odszedłem, głęboko wzruszony. Ogłądnąłem się raz jeszcze — zamajaczyła mi w ciemności biel jej sukni.

XXIII.

Zeszedłem do mej kabiny. Lecz mowy nie było, bym mógł zasnąć. Byłem niezwykle zdenerwowany. Nie rozbierając się, wyciągnąłem się na mem łóżku i, leżąc w ciemności, rozmyślałem nad bolesnemi dziejami tych dwojga ludzi. Cisza zupełna zalegała teraz statek; do uszu moich dochodziły tylko ściszone warczenie maszyn i szum wody, opływającej stalowe burty okrętu.

Myślałem dużo o Harcourcie. Jakże byłbym chciał znać go! Musiała to być natura niezwykła — i gdyby miłość nie była zahamowała go w biegu, koncentrując na tej kobiecie cały zapał i wszystkie siły żywotne jego ducha, przypuszczam, że wyjątkowy dynamizm i potężna jego żywotność byłyby doprowadziły go do zajęcia wysokiego stanowiska. Zadawałem sobie to samo pytanie, co przed chwilą Rancé: czy rzeczywiście miłość nie zniszczyła więcej energij na świecie, niż pobudziła ich do czynu?... Na pamięć przychodziły mi różne przykłady — znane z historji tragiczne zmierzchy wielkich indywidualności, opętanych przez miłość. Lecz dnia tego nie byłem w stanei myśleć długo kategorjami ogólnemi. Byłem za bardzo pod wrażeniem tego, co przed chwilą widziałem i słyszałem. Myśl moja wracała uparcie, do kobiety, którą zostawiłem wśród nocy samą, na pustym pokładzie...

Po godzinie takich rozmyślań, myśl o tej kobiecie stała się poprostu obsesją — tak, że nie mogłem się jej oprzeć. Wstałem i przez puste korytarze, po których wiatr tylko hulał, udałem sie na pokład. Zajrzałem ostrożnie do krytej galerji po stronie sterburty.

Pani Vernod znajdowała się tam jeszcze. Leżąc nawpół w trzcinowym fotelu, usnęła może... Lecz prawdopodobniej pogrążona była w swych ciężkich myślach. O, jakże mi było żal tej kobiety!...

Usunąłem się w przeciwległy koniec galerji. Usiadłem i ja w trzcinowym fotelu i puściłem wodze myślom. Około wpół do trzeciej nad ranem, zaglądnąłem znowu do niej. Znalazłem ją jak wpierw, w fotelu, w tej samej pozycji, mimo, że wiatr wcale silny dął teraz. W słabem świetle znajdującej się opodal lampy elektrycznej, wydała mi się uosobieniem niemej rozpaczy.

Poczułem zmęczenie. Wróciłem do kabiny i około trzeciej zdołałem wreszcie zasnąć. Lecz o piątej rano, zbudziło mnie znienacka gwałtowne pukanie do drzwi. Zerwałem się i otworzyłem drzwi. Przedemną stał Rancé. Zobaczyłem odrazu, że był czemś głęboko wstrząśnięty.

— Pani Vernod zniknęła dziś w nocy — rzekł i głos załamał mu się.

Krzyknąłem z przerażenia. On zaś dodał po chwili:

— Jest rzeczą pewną, że nie ma jej już na statku... Pewną... zupełnie pewną — powtarzał nieprzytomnie. — O Boże!

— Tak... To, czego obawiałem się... — wyrzekłem z trudem.

— Kochała go naprawdę — począł mówić z oczyma wbitemi nieruchomo wdal — nie przestała kochać go nigdy...

— Kochała go tak, że przez tę miłość umarła... — szepnąłem.

— O, jakiż głupiec! Jakiż nędznik ze mnie! — zawołał i chwycił mnie z taką siłą za ramię, że aż zabolało. — Ona nie żyje — nie żyje! A ja... ja kochałem ją jeszcze... I nic nie wiedziałem o tem...

— Rancé — zdołałem ledwie wyrzucić ze ściśniętego gardła — wczoraj wieczór rozmawiałem z nią... Pragnęła, aby jej pan przebaczył. To była ostatnia jej wola... Opowiem panu wszystko... Była to piękna dusza — niech mi pan wierzy!



Skłoniłem się przed nią...

Zasłonił sobie oczy ręką i pozostał tak chwilę nieruchomy. Nagle otrząsnął się i rzekł z mocą:

— Muszę iść. — Służba.

Wyszedłem z nim i za chwilę byliśmy już na pokładzie. Koło nas przeszedł pan Vernod, w otoczeniu kilku osób, które wyrażały mu żywo swe współczucie. Konsul generalny szedł zgarbiony, przybity. Powtarzał w kółko, zdławionym głosem: „Biedna Lina... O biedna...!"

Przypomniałem sobie, co mówiła mi. Człowiek ten wiedział przecież o wszystkiem...

— W jaki sposób spostrzeżono zniknięcie jej? — zapytałem Rancégo.

— Ta panna do towarzystwa, która zajmowała z nią jedną kabinę, to ona...

— O Boże! Wczoraj jeszcze widzieliśmy je tu obie, na tej ławce — pamięta pan?

Spojrzałem na niego. Po twarzy tego twardego człowieka łzy płynęły strumieniem. Ująłem go za rękę i mocno uścisnąłem.

— Spokoju, mój Rancé, spokoju! — szepnąłem.

— Dzisiaj rano — począł opowiadać — zbudziwszy się zobaczyła, że łóżko pani Vernod pozostało tak, jak rozścieliła je na noc pokojowa — że więc nikt nie nocował w niem... Zaniepokoiła się i poczęła szukać swej chlebodawczyni. Nie znalazła jej nigdzie. Wtedy zdjął ją strach. Obudziła pana Vernod, zaalarmowano komendanta. Ten zmobilizował cały personal okrętowy. Poczęto przetrząsać cały statek... Ja sam kierowałem poszukiwaniami... Nie wiem doprawdy jak potrafiłem znaleźć siły na to!... O Boże! Wczoraj jeszcze mówiłem, że nienawidzę ją! A dziś — już ani Harcourta... ani jej... nikogo już nie ma!... — Cóż za nędzny błazen ze mnie! Czemuż odezwałem się wczoraj do niej! — Ludzie myślą, że wpadła przypadkiem do morza... I pomyśleć, że wczoraj wieczór mówiłem jeszcze: „Aż do Marsylji będę musiał widzieć ją ciągle!"

Umilkł. Nagle przypomniał sobie:

— Służba! Mój Boże! — Za dwie godziny przybijamy przecież do Hong-Kong!... Nie powinien nikt wiedzieć, co dzieje się we mnie...

— Odwagi, przyjacielu — rzekłem. — Jeżeli to może przynieść panu ulgę, to powiem panu, o czem zapewniła mnie wczoraj: przed śmiercią, Harcourt dowiedział się o tem, że był kochany...

Na twarzy jego zabłysła radość.

— Opowie mi pan to wszystko... O, słaba to tylko pociecha i nikła radość...

Bezsilnie rozłożył ręce i odszedł. Widziałem, jak zadawał sobie gwałt, by przejść spokojnym, mocnym krokiem wśród pasażerów, których coraz większa ilość ukazywała się na pokładzie. Tworzyły się grupy. Rej wiedli w nich ciekawi i plotkarze. Czułem, że nie byłbym w stanie słuchać tych głupich uwag — tych niedorzecznych pytań kumoszek okrętowych — może nawet złośliwych przycinków... A jeszcze, kiedy z daleka zoczyłem nadchodzącego doktora okrętowego — i pomyślałem, co gotówem od niego usłyszeć! — umknąłem poprostu na górny pokład, gdzie wiedziałem, że nie zastanę w tej chwili nikogo.

Jak żywa stanęła tam przedemną! Taką ją widziałem, jaką była, kiedy rozmawiała ze mną — zaledwie kilka godzin temu! Została potem sama na pokładzie, ze wspomnieniem straconej swej miłości — z tą raną na nowo otwartą w obolałem sercu — z tym krwawym wyrzutem, który może podświadomie nurtował ją i wzbierał przez lata, żeby teraz dożyć, wywlany gwałtownem wystąpieniem Rancé'go — wypłynąć na powierzchnię jej świadomości...

Przypomniałem sobie: jakże obojętną i spokojną wydawała się, jeszcze wczoraj, zaślepionym oczom naszym ta dusza, żarta okrutnem wspomnieniem — trawiona rozpaczą po utraconem szczęściu...

Usiadłem w tyle okrętu i patrzyłem na bezkres morza, poorany w kłębiące się zwały fal. Niosły na poszarpanych grzbietach białe grzebienie pian. A mnie się zdawało, że przez łzy, których mgła ćmiła mi oczy, widzę chwilami, tam, het w dali, niesioną przez fale, białą suknię kobiecą...

KONIEC.

WENUS NA DRABINIE

Z wizytą u Anny Lee, która dzięki własnej metodzie gimnastycznej zbudowanej kształty najpiękniej zachowała kobiety Anglji.





Anna Lee, żona dyrektora wytwórni „British-Gaumont" mr. Stevensona i gwiazda tej wytwórni, podczas ćwiczeń na linie (na lewo) i na dwóch drabinach (poniżej).

Fot. M. Lorant — Londyn.

Jeżeli podziwiamy fakirów hinduskich, mogących swobodnie leżeć na łożu, z którego wystają ostre gwoździe, to nie dziwilibyśmy się, widząc tam piękną kobietę, pod warunkiem oczywiście, że taka oryginalna kuracja przyczyniłaby się do zachowania jej urody! Bo do czegóż nie jest zdolna kobieta, chcąca à tout prix zachować młodość i powab? Wiadomo z różnych kronik i notatek, że nie było bodaj mąk i katuszy, któreby nie stały się udziałem piękniejszej części ludzkości w celach kosmetycznych. Nie potrzeba sięgać aż do czasów starożytności, gdyż i późniejsze dają nam w tym względzie dosyć ciekawych przykładów.

Do najlepiej zakonserwowanych piękności towarzystwa warszawskiego w początkach XIX wieku należała księżna namiestnikowa Zajączkowa i dopiero jakiś niedyskretny pamiętnikarz odsłonił rąbek tajemnicy tej damy. Okazało się, że umartwienia fakirów i pustelników są poprostu drobiazgiem, wobec ofiar, jakie składała p. Zajączkowa na ołtarzu swej urody. Sypiała bowiem w łóżku, pod którem stały balje z lodem! Oczywiście, że w tych warunkach nie mogła nikogo przyjmować... zbyt gorąco, co z drugiej strony nie dziwiło, bo któryś tam krzyżyk dźwigała już na barkach. Ale nie poznać było po niej wieku: wyglądała niezwykle młodo.

O ileż jednak łatwiej jest dzisiaj zachować młodość i urodę, niż za czasów Królestwa Kongresowego! Przyjrzyjmy się choćby tej uroczej Angielce, Annie Lee, córce pastora, która od najmłodszych lat wykazywała dziwne zamiłowanie do ćwiczeń gimnastycznych, zachowując giętkość ciała i piękną linję. Nawet obowiązki życia światowego, jakie poczęła prowadzić po wyjściu zamąż za dyrektora wytwórni filmowej Stevensona, nie zdołały odciągnąć jej od tych ćwiczeń.

Na czemże one polegają? — Oto Anna Lee, posługując się dwiema drabinami, wspina się po nich od stopnia do stopnia, ćwicząc mięśnie swych pięknych nóżek, nie zaniedbując również przytem gimnastyki ramion, które muszą przytrzymywać drabiny od góry. Jest to pewnie bardzo męczące, ale podobno... bardzo skuteczne. Prócz tego ćwiczenia Anna Lee posługuje się liną, zawieszoną u framugi drzwi i gimnastykuje się na niej, podobnie, jak to inni czynią na trapezie. Wreszcie nie gardzi również chodzeniem po linie, niczem najlepiej wyćwiczona akrobatka. Nie piszemy o tem wszystkiem po to, aby drażnić nasze piękne panie podobnie wymyślnemi wymaganiami gimnastyki domowej. Chodzi nam tylko o stwierdzenie i poparcie konkretnym przykładem twierdzenia, że gimnastyka jest bodaj najlepszym sposobem zachowania młodości i pięknych kształtów.

Anna Lee należy do najlepiej zbudowanych kobiet Anglji. Twierdzi jednak, że bez metodycznego stosowania przez siebie wymyślonej gimnastyki nie byłaby doszła do tej doskonałości linji swego ciała, która zapewniła jej nietylko pierwsze miejsce w szeregach cór Albionu, ale i w zespole artystycznym największej wytwórni filmowej Anglji — „British-Gaumont".

L.—M.

Legominy z jabłek na cały miesiąc.

Zmiany, jakie zaszły w naszym systemie odżywiania, obserwować możemy m. i. także i na jabłkach, które dziś w postaci surówek urozmaicają witaminowe sałatki. Te najmłodsze z naszych przysmaków znamionują najlepiej ewolucję nowoczesnej kuchni, która odbyła niezbyt długą, a jakże odległą przestrzeń. Ongiś babunia nasza siadała przy jakiejś robótce pończoszkowej i jadała jabłka pieczone dla niej specjalnie, jakoże przy braku zębów w tej formie były jej najbardziej dostępne. Nowoczesne babunie lubią (obok brydża) jabłka w każdej postaci, ceniąc przedewszystkiem surówki owocowe, które pozwalają utrzymać się w formie, nie tracić linji, czy też lekkości, potrzebnej do tenisa czy nart...

Październik jest miesiącem, w którym możemy sobie pozwolić na włączenie jabłek do codziennego menu. Oto serja przepisów, które pozwolą na codzienną odmianę z repertuaru jabłecznego.

Budyń z jabłek:

utrzeć 5 żółtek i 25 dkg cukru, wsypać pół szklanki tartej bułki, 12 dkg rodzynków, dodać skórkę i sok z pół cytryny i kieliszek rumu. Osobno ubić pianę z 5 białek i wymieszać ją z żółtkami, dodając równocześnie 60 dkg jabłek, cienko pokrajanych. Dać do formy wysmarowanej masłem i wysypanej bułeczką. Gotować 45 minut, a po wydaniu na stół ubrać osączonemi konfiturami.

Jabłka pieczone z orzechami:

obrać i wydrążyć środki jednego kg jabłek, napełniając każde z nich mielonemi orzechami (wystarczy 5 dkg). Upiec jabłka na szklanym ogniotrwałym półmisku, a wydając na stół przybrać je konfiturą. Osobno podać w sosjerce jakiś ciepły sos, np. waniljowy.

Grzybek z jabłek:

utrzeć 4 żółtka, 4 łyżki cukru, dodać łyżkę gęstej śmietany, łyżkę mąki, pianę z 4 białek i skórkę z pół pomarańczy. Dać do formy ze szkła ogniotrwałego, wysmarowanej grubo masłem. Na wierzch układać ćwiartki jabłek, stojąco, w niewielkiej od siebie odległości, nie dociskając ich do dna. Wstawić do rury, niech się wolno piecze. Po upieczeniu posypać cukrem z wanilją. Jabłka powinny być kruche i winne. Wystarczy ich 3—4. Krajać należy je na 8—10 cząstek.

Jabłka książęce:

utrzeć 2 żółtka, 7 dkg cukru, 7 dkg masła, dodać pianę z 2 białek i 7 dkg mąki. Upiec na wysmarowanej masłem i wysypanej mąką blasze. Po upieczeniu krajać z tego dowolne ciastka, smarować marmoladą morelową, ułożyć na każdem połówki osobno upieczonych jabłek, do których wkładamy po jednej smażonej wiśni. Ubić pianę z 5 białek i pół f cukru i ponakładać na wszystkie ciasteczka.

Jabłka w czerwonem winie:

zrobić rzadkie ciasto drożdżowe (drożdże rozpuścić w mleku, 2—3 łyżki oliwy, mąka), postawić niech wyrośnie. Potem maczać w niem jabłka, pokrajane w dość grube talarki i odleżałe w cukrze z sokiem i skórką cytrynową, oraz łyżką koniaku. Maczane w cieście jabłka smaży się na smalcu lub oliwie, posypuje cukrem, układa na ogniotrwałym półmisku, zalewając 1—2 szklankami czerwonego wina. Po jakichś 20 minutach miernego ciepła w rurze, podaje się legominę na stół.

Ciasto francuskie z jabłkami z polewą migdałową:

zrobić ciasto francuskie z 1/2 f masła. Połowę rozwałkować na wielkość półmiska, na którym legomina piec się będzie. Wykroić z tego pierścień na 3 palce szeroki i wysmarowawszy dobrze półmisek masłem, dać na brzeg wycięty pierścień ciasta. Resztę rozwałkować na przykrycie legominy. W środku półmiska dajemy spodeczek dnem do góry, aby pod nim zbierał się sok z jabłek, które układamy w środku, napełniając każdą połówkę konfiturą. Posypujemy je cukrem i przykrywamy resztą ciasta, zaciskając dobrze brzegi, które należy ładnie nożem pokarbować. Piecze się w rurze dobrą godzinę. Przez ten czas należy przygotować polewę migdałową z 2 szklanek śmietanki, przegotowanej z wanilją i kilku miałko tłuczonemi gorzkiemi migdałami. Zaprawiamy to 3 żółtkami utartemi z 1/4 f cukru i odrobiną mąki ziemniaczanej. Mieszać to na ogniu tak długo aż zacznie gęstnieć. Wtedy odstawić z ognia i jeszcze mieszać. Przestudzoną masą polać legominę, wstawić ją jeszcze raz na krótko do rury, aby się masa zcięła. Po przestudzeniu podać na stół.

Krem wypiekany z jabłek:

pokrajać w talarki 15 kwaskowatych jabłek (obrać i odrzucić środki), rzucać na gotującą wodę na kilka minut, wyjmować i osączać na sicie. Osobno zaparzyć 2 łyżki masła i 2 łyżki mąki, wlać litr śmietanki, zagotować do gęstości, dodając jeszcze 1/4 f cukru z cynamonem. Ostudzić, dać 12 żółtek, a potem pianę z pozostałych białek. Wysmarowany masłem i wysypany bułeczką rondel napełniać masą i jabłkami naprzemian. Z wierzchu posypać bułką i pokropić masłem. Piec w niezbyt gorącym piecu. Wydając na stół, pocukrować.

Krem zimny z jabłek:

przetrzeć przez sito ugotowane jabłka. Na dwie szklanki tej masy dać szklankę cukru, 3 łyżki rumu, sok z cytryny i półtora dkg żelatyny, rozpuszczonej w wodzie. Masę tę ubijać, aż zbieleje. Potem dodać pianę z 4 białek i dać do formy, wysmarowanej oliwą. Postawić w chłodzie do zastudzenia. Podając przybrać konfiturami i otoczyć sokiem lub kwaśną śmietaną wokoło.

Jabłka z migdałami:

15 jabłek ugotować w 2 filiżankach białego wina na marmoladę. Przetrzeć ją przez sito, dodać 1/2 f migdałów, utartych z 2 białkami i 1/4 f cukru. Wbić do tego 10 żółtek, 6 całych jaj, sok i skórkę z cytryny, pianę z 4 białek razem z 4 łyżkami cukru. Upiec w formie, wysmarowanej masłem i wysypanej bułeczką.

Koch jabłkowy:

utrzeć 12 dkg masła z 8 łyżkami cukru i 8 żółtkami. Dodać 2 szklanki tartej bułki, skropionej winem, pianę z białek i funt pokrajanych drobno jabłek, trochę skórki cytrynowej. Upiec we formie, wysmarowanej masłem i wysypanej bułeczką. Po wyjęciu z formy posypać cukrem.

Ser jabłkowy:

upiec jabłka (kwaskowate) w rurze, przetrzeć i w równej ilości z miodem smażyć na wolnym ogniu tak długo aż od łyżki odstanie. Przed końcem gotowania dodać trochę utartej skórki pomarańczowej, imbiru i goździków. Masę dobrze wymieszać, a zwilżywszy w wodzie serwetę, wykręcić ją i włożyć w nią usmażony ser, jak to się robi ze zwyczajnym serem. Włożyć pod prasę po związaniu serwety sznurkiem i suszyć na słońcu. Dobrze ususzony ser przechowywać w suchem miejscu, owinięty papierem pergaminowym. Można też do tego sera dodać trochę orzechów, pokrajanych w cieniutkie paseczki.



Jabłka w cieście z oliwą i arakiem:

przygotować ciasto z 4 żółtek, cukru, pół szklanki mąki, łyżeczki oliwy i łyżeczki araku. Dodać pianę z pozostałych białek i w tem cieście maczać jabłka, pokrajane w talarki i smażyć. Podając, posypać cukrem.

Jabłka z czekoladą:

4 pieczone jabłka przetrzeć wraz z tabliczką czekolady, dodać filiżankę cukru z wanilją i pianę z 6 białek. Ułożyć wysoko na półmisku z ogniotrwałego szkła, wysmarowanym masłem i wstawić na kilka minut do rury. Podając, oblać arakiem i zapalić.

Jabłka smażone w kremie:

zrobić rzadkie ciasto z mąki i wina i smażyć w niem na maśle oczyszczone połówki jabłek. Osobno utrzeć 8 żółtek z 8 dkg cukru z cynamonem i skórką z pół cytryny. Dodać łyżkę masła, garść tłuczonych migdałów i 3/4 szklanki śmietany. Na półmisku szklanym ogniotrwałym, wysmarowanym masłem wyłożyć tę masę, poukładać na niej przygotowane jabłka, robiąc wokoło nich obrączki i upiec.

Jabłka pieczone na maśle:

obrać i wydrążyć 6 jabłek w ten sposób, aby nie przedziurawiać od spodu. Na ogniotrwały szklany półmiseczek dać masła, ustawiać na nim jabłka otworami do góry, wkładając do każdego po kawałeczku masła i po łyżeczce cukru. Podczas pieczenia w rurze, polewać je sosem, który z siebie puszczą. Podając na stół włożyć do każdego jabłka konfitur lub galaretki.

Jabłka pieczone z migdałami:

przygotować jabłka jak poprzednie, powbijać w nie pokrajane na długość w 4 cząstki migdały, napełnić każde siekanemi migdałami z miodem, którym delikatnie każde jabłko posmarować. Piec na maśle w tym samym półmisku, na którym podajemy na stół.

Suflet zimny z jabłek:

upiec funt jabłek, przetrzeć przez sito, dodać 1/2 f cukru, 4 łyżki marmolady morelowej, skórki cytrynowej, 2 łyżki rumu, oraz pianę z 8 białek. Wymieszać lekko, dać do formy i postawić w zimnie.

Jabłka pieczone na maśle, przybrane smażonemi wiśniami.



Jabłka pieczone z migdałami.



ŁAMIGŁÓWKI
mody ★ męskiej

Plecy sportowej marynarki.

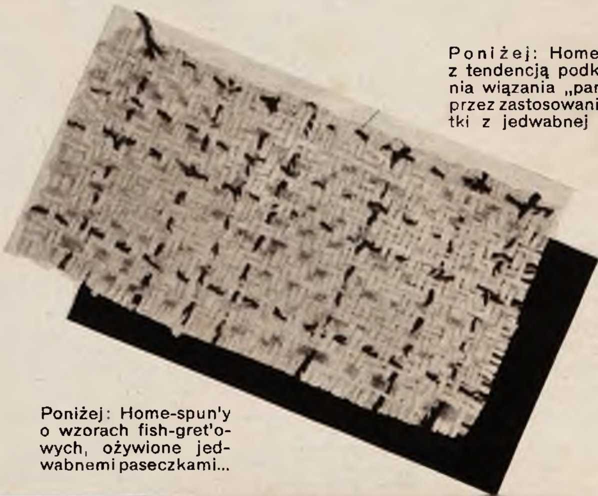
Nie zawsze zdajemy sobie z tego sprawę, czy krój pleców naszej nowej marynarki sportowej, proponowany przez krawca, odpowiadać będzie tym wszystkim wymogom, które stawia tego rodzaju specjalnemu ubiorowi różnorodność ruchów, wykonywanych w czasie uprawiania sportów. I tak do jazdy konnej, sportu myśliwskiego lub golfa nie będziemy mogli zastosować fasonu, używanego n p. przez automobilistów, ponieważ w pierwszym wypadku charakter wymienionych sportów wymagać będzie daleko większej swobody ruchów naszych ramion, niż to ma miejsce podczas kierowania samochodem. Jeździec, strzelec i gracz w golfa dążyć więc musza do zachowania właściwej długości pleców w górnej ich partji (między rękawami), którą możemy uzyskać albo przez odpowiednie zmarszczenie materjału na całej jego płaszczyźnie, lub też przez zastosowania kontrafałdu przy środkowym szwie, albo wkońcu zapomocą bardzo dziś modnych zakładek, wszywanych pod rękawami. Wszystkie te kroje wymagają odpowiedniego zaznaczenia talji przez dragon, zmarszczenie gumową wkładką, lub wkońcu nawet pasek. Do sportów, które nie pociągają za sobą ruchów gwałtownych i zamaszystych, wybierzemy gładki fason angielski, niesłusznie określany mianem „workowatego", w którym dzisiejsza moda wprowadza rozcięcia u dołu bocznych szwów.

Brummel.

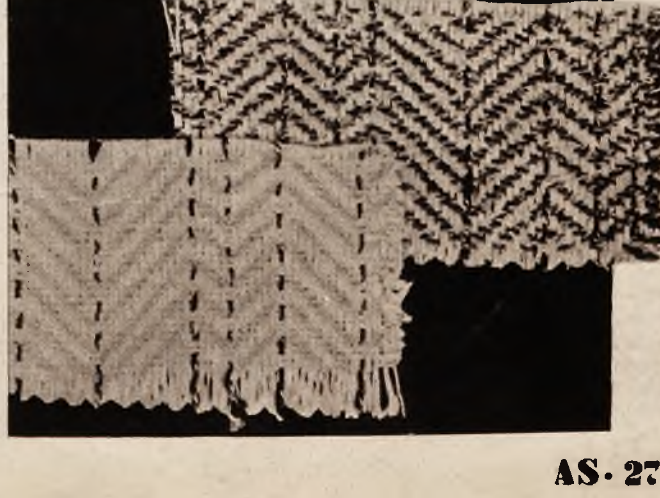


★ Na lewo: Dzisiejsza marynarka sportowa, którą prócz okoliczności czysto sportowych nosimy również w t. zw. ubraniach kombinowanych, odznacza się wielką różnorodnością kroju pleców... ★

Poniżej: Home-spun z tendencją podkreślenia wiązania „panama" przez zastosowanie kratki z jedwabnej nici...



Poniżej: Home-spun'y o wzorach fish-gret'owych, ożywione jedwabnemi paseczkami...



Co włoży elegancka pani popołudniu i wieczorem?



Szlachetna w swej prostocie biała suknia pokryta jedwabną frendzlą. Długi tren podkreśla powłoczystość linji.
Fot. Ag. SCHOSTAL.

Wielkich stolicach odbyły się już jesienne pokazy modeli. Dyktatorowie mody przedstawili nam wyniki swych długich prac przygotowawczych. Z tych rewji i pokazów dowiedzieliśmy się, co będzie w tym sezonie modne i *up to date*. Ale na pytanie: „co noszą?" — odpowiedzieć można dopiero teraz, gdy elegancka kobieta dokonała wyboru wśród niezliczonej mnogości nowych pomysłów.

Bo prawdziwie elegancka dama nie daje sobie niczego narzucić. Co roku powtarza się to samo: pewne fasony lub barwy, lansowane przez twórców mody, nie przyjmują się po prostu. Tak, jak niekażda nowa piosenka staje się „przebojem", jak i w dziedzinie mody niektóre nowości odpadają z początkiem sezonu, inne zaś przyjmują się i cieszą powodzeniem. Jeśli więc chcemy wiedzieć, co naprawdę jest noszone w tym roku, odrzućmy żurnale, a pójdźmy podpatrzeć „Panią Modę" tam, gdzie piękne kobiety pokażą nam jej cuda „na żywo".

Jak mamy w tym roku ubrać się na dancing lub bal? Zobaczymy.

Zajrzyjmy późnem popołudniem do któregoś z wytwornych grillroom'ów lub kawiarń, gdzie między 5-tą a 7-mą elegancki świat schodzi się na herbatę.

Suknie i popołudniowe kostjumy są krótkie, krótsze niż w zeszłym roku, a niedawno jeszcze spotykane popołudniowe suknie do kostek przeszły już do historji. Kto chce być w zupełnej zgodzie z przykazaniami dzisiejszej mody, popołudniu i wczesnym wieczorem nosi suknie tej samej długości co rano, a tualety długie do ziemi rezerwuje tylko na późne godziny wieczorne.

Wśród tłumu eleganckich kobiet, które zapełniają salę, uderza nas jedno: — ogromna prostota ich tualet. Popołudniowo-wieczorowy ich charakter wyraża się jedynie w gatunku materjału — fasony są pozornie bardzo skromne i nieskomplikowane. Jakże subtelnie i młodzieńczo wygląda ta suknia z miękkiego złotego brokatu, uszyta jak najzwyklejsza poranna „robe chemisier: dosyć krótka, o prostej spódniczce z fałdami lub pliskami, zapięta pod samą szyję, wykończona małym, nonszalancko zawiązanem fichu; bronzowy aksamitny płaszcz, z pięknym lekko kloszowym kołnierzem z soboli, nadaje jej wytworną oprawę i podkreśla szlachetność lśniącego materjału. Obok niej spostrzegamy czarny „frakowy" kostjum z aksamitu, z szalowym kołnierzem z srebrnych lisów, w którego rozchyleniu ukazuje się drobniutko plisowana bluzeczka z liljowego chiffonu, z pękiem stonowanych aż do ciemnego fioletu orchidei przypiętych przy wycięciu.

Dla smukłych, wysokich kobiet, jakże wytworne są modne obecnie długie kazaki z wzorzystych i barwnych aksamitów, lub lśniącego satin. Na popołudnie są one doskonałem uzupełnieniem kostjumów o dłuższych, lekko kloszowych baskinach, wieczorem zaś harmonizują prześlicznie z powłóczystą linją długiej spódnicy z ciemnego jedwabiu lub aksamitu.

Wciąż jeszcze bardzo noszone są dwuczęściowe komplety, złożone z sukni i tej samej lub kontrastującej barwy płaszcza, przybranego bogato szlachetnym futrem. Przypatrzmy się tej uroczej blondynce w jasnopopielatej sukni z ciężkiego, matowego marocain, na którego tle tak subtelnie odcina się ciemno fiołkowa barwa paska, torebki i maleńkiego toczka z piórek. Fiołkowy elegancki płaszcz z miękko zdrapowanym kołnierzem z popielic uzupełnia tę dyskretną i wytworną tualetę.



Powyżej: Oryginalna toaleta wieczorowa z przetykanego złotem białego brokatu. „Pagodowo" poszerzone ramiona, są charakterystyczne dla najnowszych wieczorowych kreacyj.



Na prawo: Blado-różowe, inkrustowane na czarnym tiulu kwiaty, stanowią jedyne przybranie wieczorowej sukni.

Nie brak i czarnego koloru. Jak co roku — setki kobiet pozostaje mu wiernemi — umiejąc ocenić jego ogromne zalety: jest „niezwyciężenie" elegancki na popołudnie i wieczór, twarzowy tak dla blondynek jak i dla brunetek, a nie opatruje się łatwo. Toteż dla pań o skromniejszym budżecie jest dzięki tej swojej właściwości niezastąpiony.

* * *

Bale w naszej epoce stają się coraz rzadsze, a w każdym razie przestają być jedynem miejscem, gdzie spotkać można t. zw. wielki strój wieczorowy. Powoli zastępują je dancingi w eleganckich nocnych lokalach, a w domach prywatnych wieczory bridge'owe, t. zw. cocktail-party i proszone obiady. Jeśli się chce podpatrzeć wieczorową modę w jej najwytworniejszem wydaniu, trzeba poszukać jej w Operze, w drogich nocnych lokalach lub na wieczornych obiadach w dyplomacji, finansjerze itd.

Pójdźmy do Opery paryskiej, zatrzymajmy się na chwilę w hallu i patrzmy, jak przed głównem wejściem zatrzymują się sznurem lśniące aerodynamiczne rasowe Packardy, Hispano-Suizy i Rolls Roycy — jak z wnętrz ich wyłaniają się wytworne postacie kobiece, otulone w peleryny z srebrnych lisów, w cape'y z nurków, popielic i soboli, lub też w tak rozmaite w barwach i fasonach aksamitne płaszcze. Jakże wysmukłe i posągowo wygląda ta młoda dama w spływającym z ramion powłóczystym, iście królewskim płaszczu z jedwabnego aksamitu, w modnym odcieniu „rouge grenat"! Wyszukany krój tego okrycia, lekko na plecach przymarszczonego, podkreśla linję draperji.

Przejdźmy do foyer w czasie pauzy, a ujrzymy najwspanialszą rewję wieczorowych strojów. Jakże wielką swobodę w ich wyborze pozostawia kobiecie dzisiejsza moda! Od prostych, swobodnie do stóp spływających szat, przypominających greckie draperje, poprzez kunsztownie draperowane i podpinane suknie, czerpiące wzory z orjentalnych strojów — aż do lekkich i powiewnych tualet z gazy lub tiulu — wszystko jest modne! Każdy typ kobiecy — każdy gust, znajdzie w repertuarze obecnej mody wieczorowej swój odpowiednik. Jedno obowiązuje: każda tualeta musi być zdecydowana w linji, daleka od banalności i musi być wykonana z szlachetnego materjału... Modne są wszystkie pastelowe odcienie, często zestawiane w kilku barwach — a najmodniejsze, jak i w modzie popołudniowej, są wszelkie nuanse koloru liljowego, od różowawego bladego cyklamenu, aż po niebieskawy odcień kwiatów barwinku. Nie brak srebrnych i złotych lam i mieniących brokatów, jak również rozmaitych gatunków tafty, szczególnie silnie lśniącej t. zw. cirée i wytłaczanej w kwiatowe wzory.

Jako przybrania naczelną rolę grają — podobnie jak w letnich tualetach — kwiaty.







Powyżej: Na suknię z srebnej lamy narzuciła piękna pani płaszcz-pelerynę z szafirowego „velour-transparent".

Pierwsze na lewo: Liljowa suknia wieczorowa z ciężkiej materji - crepy przypomina szaty orientalne

Obok na lewo: Na popołudniowy dancing ostatnim wyrazem mody jest prosta w kroju suknia z lśniącego brokatu, uzupełniona ciemniejszym płaszczem w tym samym kolorze.

Egzotyczne storczyki, matowo białe kamelje, aksamitne bratki i lekkie różnobarwne maki i anemony — ozdabiają suknie wieczorowe pękami przypiętych przy wycięciu lub u paska, wiją się wkoło dekoltu lub spływają z ramion barwnemi girlandami, grupują się na trenach, obrzeżają suknie dołem, kwitną na tiulowych lub koronkowych mufkach. Wróciły też w pełni do swych praw pióra: całe rajskie ptaki roztaczają przepych swych barw wokół wycięcia sukni, a szerokie pasy kolorowych piór strusich tworzą efektowne falbany lub pelerynki. Widuje się również przy czarnych sukniach z lśniących materjałów bardzo oryginalne i nowe przybrania z małpiego futra, ciekawie kontrastującego swą matowością z połyskiem atłasu lub aksamitu.

Niezwykle oryginalną, choć trochę ekscentryczną inowacją, są wieczorowe fraki z kosztownej lamy lub brokatu, z długiemi na wzór męskich połami, noszone do wąskich, ciemnych spódnic, zakończonych często małym trenem. Dla zwolenniczek prostej, „greckiej" linji jakże nowe i ładne są przybrania z długich jedwabistych frendzli, spływających jedną linją z ramion do pasa, drugą od bioder do samej ziemi.

Lecz pst... rozlega się już drugi dzwonek — światła gasną na widowni — piękne panie, których tualety mogliśmy obserwować, zniknęły w zamykających się drzwiach lóż.

Lady Like.

PRZEPISY
odnoszące się do naszego kalendarzyka — obliczone na 3—4 osoby.

BUDYŃ CYTRYNOWY. (dla ozdrowieńców). Łyżkę kopiatą cukru, 2 żółtka, łyżkę soku cytrynowego i troszkę otartej skórki, ubijać na parze, aż zgęstnieje. Po ostudzeniu domieszać łyżeczkę mąki i pianę z 2 białek. Masę wlewa się do natartej masłem formy budyniowej i gotuje na parze pół godziny. Budyń podaje się posypany cukrem lub skropiony winem, o ile lekarz wino dozwoli.

KLOPS Z ZAJĄCA. Przodek zająca i 15 dkg mięsa wieprzowego obrać z kości i zemleć wraz z małą bułeczką, rozmoczoną w mleku, dodać małą startą na tarełku cebulkę, szczyptę pieprzu, soli, odrobinę imbiru, angielskiego pieprzu lub jałowca również na miałko utłuczonych. Wkońcu dodaje się 1 całe jaje i białko oraz 10 dkg młodej słoniny, skrajanej w kostkę i przesmażonej na szklano. Wszystko miesza się przez 10 minut, aby mięso spulchniało. Masę wykłada się na deskę, posypaną tartą bułką, formuje z niej podłużny klops, który się obsmaża na gorącem maśle, okłada cienkiemi płatkami słoninki i piecze w piecyku przy częstem polewaniu. Pod koniec pieczenia, tj. kiedy ukłuty widelcem klops nie wydziela soku lecz czysty tłuszcz, wyjmuje się go na półmisek, a pozostały sos podprawia się śmietaną na gęsto i podaje go osobno w sosierce. Klops kraje się dopiero po częściowem ostudzeniu, gdyż jest bardzo kruchy, w cienkie plastry i okłada kluseczkami lub tartemi ziemniaczkami. Podany zaś na zimno z sałatą ziemniaczaną z śledziem stanowi wydatną i smaczną kolację.

NAROGI CZYLI PŁUCKA SARNIE LUB JELENIE. Do zamieszczonych w poprzednim numerze przepisów na potrawy myśliwskie, jako będących obecnie na czasie, dodajemy jeszcze jeden na potrawę, o którą się nasi nemrodzi często upominają. Z świeżo zabitej zwierzyny spuścić trochę krwi na ocet (aby się nie ścięła) i dobrze rozkłucić. Serce i płucka wymyć w kilku wodach, lecz nie moczyć wcale, następnie ułożyć w rondelku, posolić dodać włoszczyzny i korzeni, zalać wodą z kilku łyżkami octu i ugotować. Wątrobę obciągnąć z błony, nie zapominając pozbawić jej żółci i udusić na maśle z cebulką. Dusić nie dłużej jak 8—10 minut. Gdy wszystko gotowe, pokrajać drobno. Na maśle z pod wątroby zrobić rumianą zasmażkę z 2 łyżek tartego ciemnego chleba, rozprowadzić smakiem, w którym się płucka gotowały, dodać spuszczoną krew, zagotować i przecedzić przez sitko, następnie dodać garstkę rodzynków, kilka oparzonych i pokrajanych cienko migdałów ,włożyć pokrajane mięso, poddusić jeszcze przez kilka minut i wydać, obłożone bukowemi knedelkami lub makaronem.

KNEDELKI BUŁKOWE DO SOSÓW. W filiżance mleka rozkłucić 1 jaje i 1 żółtko, posolić, dodać 30 dkg sypkiej mąki i wybić na ciasto, takiej gęstości jak na kładzione kluski. Dwie małe bułki pokrajać w drobną kostkę, 6 dkg bielu lub młodej słoninki pokrajać i wysmażyć; wytopionym smalcem polać grzanki i zrumienić w piecyku, skwarki zaś dodać do ciasta. Na 20 minut przed wydaniem zmieszać dokładnie ciasto z grzankami bułkowemi, uformować na posypanej mąką stolnicy dwie niezbyt grube strucelki i włożyć je na gotującą słoną wodę w obszernem naczyniu. Po dziesięciu minutach gotowania, odwrócić knedle i gotować dalsze 10 minut. Ciasto narasta silnie, naczynie powinno więc być dość obszerne. Knedle, wyłożone na półmisek, kraje się w cienkie plastry i okłada niemi pieczeń lub podaje jako osobny dodatek do mięsa.

WINO GŁOGOWE WYTRAWNE (dla p. Urszuli z Poznania). 4 l głogu obmyć, poobcinać szypułki, nakłuć ostrym nożem i wsypać do słoja. Osobno ugotować syrop z 1 kg cukru i 4 l wody, wystudzić i zalać głóg w słoju. Zawiązać i postawić w kuchni na trzy miesiące. Raz w tygodniu należy zawartość słoja przemięszać. Po trzech miesiącach zlewa się wino do absolutnie czystych flaszek, korkuje i przechowuje stojąco w suchej piwnicy. Pozostały głóg można zalać jeszcze raz syropem cukrowym. Dalsze postępowanie jak wyżej.

OSTRA MARYNATA Z DYNI. Małe twarde ołupane dynie pozbawia się miąższu i pestek, kraje się w kostkę i zalewa winnym octem na 24 godziny. Następnie wyjmuje się dynię, ocet zagotowuje się z pokrajaną w krążki cebulą, łyżeczką soli, paru goździkami, całym pieprzem i listkiem bobkowym, poczem wkłada się dynię i gotuje przez 20 minut. Wyjętą z octu dynię układa się w słoju, przekładając pokrajanym w krążki chrzanem i przesypując ziarnkami białej gorczycy, poczem zalewa się octem z korzeniami, owiązuje i odstawia w chłodne a suche miejsce. Po tygodniu należy ocet odlać, zagotować i powtórnie dynię zalać. Ten ostatni zabieg służy dla ochrony przed fermentem.

Sc. Ko.

NOWOŚCI gospodarstwa domowego.



Prasowanie bielizny, zaopatrzonej w guziki, było dotąd bardzo utrudnione, ponieważ używane przez nas żelazko nie było przystosowane do wygładzania miejsc przykrytych guzikami. Dotychczasowe wysiłki, zmierzające do wygładzania tego najbliższego „sąsiedztwa" guzików, kończyły się zwykle ich uszkodzeniem, lub oderwaniem od bielizny. — Obecnie wynaleziono elektryczne żelazko, które obok reprodukujemy, zaopatrzone sprzodu w odpowiednie wgłębienia, umożliwiające dotarcie pod guziki bez ich uszkodzenia.

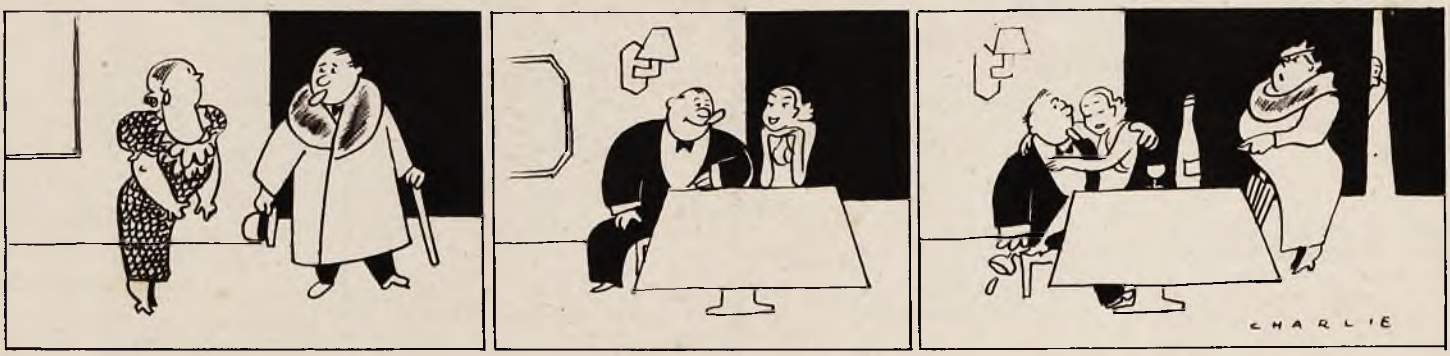
7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI.

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Święta rzym.-kat.	Tydzień 45 — **Listopad** — Dni 30
Niedziela **1** Wszystkich Św.	Zupa panade z bułek. Móżdżek na muszelkach. Befsztyki z jajem lub bażant z kompotem. Biszkopt z kremem kawowym. Kolacja: Klops z zająca z sałatą ziemniaczaną z śledziem.
Poniedziałek **2** Dzień Zadusz.	Rosół z lanem ciastem. Kapusta faszerowana. Ozór w sosie chrzanowym z ziemniakami. Suflet z jabłek. Kolacja: Hachee z mięsa rosołowego.
Wtorek **3** Huberta	Zupa węgierska "Gulasz". Kalafior w beszamelu. Pieczona kaczka z czerwoną kapustą. Strudel z makiem. Kolacja: Parówki w sosie pomidorowym.
Sroda **4** Karola	Krupnik z podróbkami. Faszerowane selery lub kabaczki. Zając duszony po francusku z knedelkami i brusznicami. Omlet z konfiturami. Kolacja: Włoska sałata z chlebem z masłem.
Czwartek **5** Elżbiety, Emer.	Barszcz na rosole z kaszką krakowską. Omlety z szpinakiem. Rozbratle prędkie z smażonemi ziemniaczkami. Budyń z bułek w sosie ponczowym. Kolacja: Płatki z szynką.
Piątek **6** Leonarda	Zupa grzybowa z perłówką na śmietanie. Kotlety jarzynowe. Karp na niebiesko z masłem i puree z ziemniaczków. Tort serowy. Kolacja: Flondry i piklingi z pieczonemi ziemniaczkami.
Sobota **7** Herkulana	Zupa fasolkowa z tartem ciastem. Civet z przodków zajęczych z kluseczkami. Zraziki pożarskie z ryżem. Placek z jabłkami. Kolacja: Pierożki z kapustą.

HOCKI-KLOCKI

PRZYGODA REŻYSERA.



— Idę poszukać pomysłu do nowego filmu .. — — — — — — — — — — — — — — — *— Ten pomysł miał już niejeden przed tobą!*

Rozwiązania z N-ru 43-go.

MARYSIA I STASIA.

Marysia ma dziś $29^{2}/_{5}$, Stasia $19^{3}/_{5}$. Gdy Marysia miała $19^{3}/_{5}$, Stasia miała $9^{4}/_{5}$, a więc dwa razy mniej.

NA KOLARSKIM TORZE.

Kolarze zrównają się po 12 minutach jazdy.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

POCIĄG I SAMOLOT.

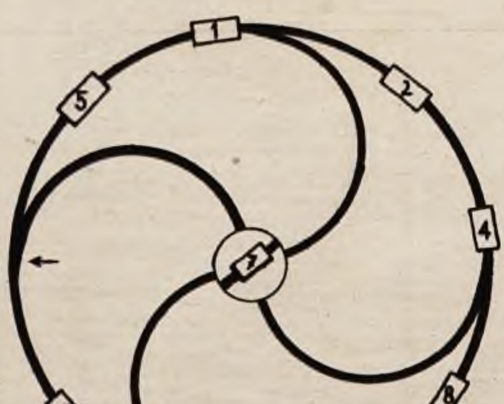
Z Warszawy wychodzi pociąg osobowy i z niewielką szybkością 30 km na godzinę idzie do Poznania (300 km). Równocześnie z Poznania wylatuje samolot, lecący z szybkością 300 km na godzinę, na spotkanie pociągu. Natychmiast po spotkaniu go zawraca i leci z powrotem do Poznania, tu znów zawraca i znów leci na spotkanie wciąż zbliżającego się pociągu itd., powtarza swą zabawę dopóty, dopóki stale jadący pociąg nie dojedzie do Poznania. Ile kilometrów przeleciał w sumie samolot?

Z PODRÓŻY PO ANGLJI.

Pewien pan, podróżujący po Anglji, kupił sobie banana, a gdy go znajomy zapytał, ile za niego zapłacił, odpowiedział tak: „Kupiec u którego kupiłem banana otrzymuje dokładnie połowę tylu sześciopensówek, za 16 tuzinów bananów, ile daje bananów za 5 funtów".

W jakiej cenie sprzedaje kupiec banany?

OSIEM LOKOMOTYW.



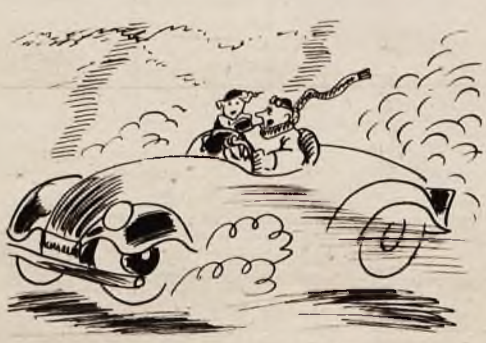
Rysunek wskazuje stację lokomotyw z dość szczególnem ułożeniem torów. Lokomotywy mogą stać tylko na dziewięciu wskazanych punktach, z których jeden jest obecnie wolny. Wozy można przesuwać kolejno po jednym z miejsca na miejsce, i w ten sposób w siedemnastu ruchach należy je ustawić na torze obwodowym w porządku numerów. Jedna z lokomotyw jest zepsta i nie można jej ruszać. Jak należy przesuwać wozy i który jest unieruchomiony?

JEDYNY POWÓD.



— Już szósty raz daje się pan operować?
— Tak, wasz chirurg jest mi winien pieniądze, których w inny sposób nie mogę od niego wydostać.

100 KM NA GODZINĘ.



— W najbliższem miasteczku kup kilka widokówek!
— Do kogo chcesz pisać?
— Do nikogo, chcę tylko zobaczyć jak wygląda ta okolica.

ZMIANA PIENIĘDZY.

Pan Nowak kupuje coś w sklepie za zł. 2.15. Kupiec nie może mu wydać reszty z 20 zł. Wówczas pan Nowak zapytuje, czy może w takim razie będzie mu mógł wydać z 50 zł., a kupiec istotnie mógł. Jak to można wytłumaczyć, że kupiec nie mógł wydać z 20 zł., a wydał z 50 zł.?

PIENIĄDZE W BANKU (figiel).

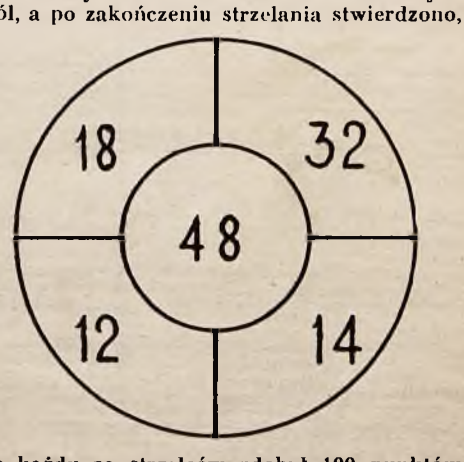
Pani Zofja rzekła pewnego razu do swej przyjaciółki: „Mój mąż więcej złotych otrzyma w banku niż twój". Ile złotych maksymalnie może podjąć mąż pani Zofji, jeśli mąż jej przyjaciółki podjął całą kwotę 2547 złotych?

WYCIECZKA ŁODZIAMI.

Cztery panny towarzyszyły swym czterem ojcom i czterem matkom na wycieczce łodziami. Towarzystwo miało do dyspozycji cztery 3-osobowe łodzie, więc umówiono się, że każdy mężczyzna weźmie jedną łódź i będzie kolejno brał ze sobą żonę jednego z przyjaciół i córkę drugiego i że żadne dwie kobiety nie pojadą razem więcej, niż jeden raz. Przed obiadem p. Fiołek woził panią Bławatek i p. Mak woził p. Fiołek, a po obiedzie pannę Fiołek woził p. Bławatek. Wycieczka udałaby się doskonale, gdyby nie to, że po podwieczorku łódź p. Fiołka zderzyła się z łodzią p. Maka i panna Bławatek wpadła do wody. Kogo woził pan Chaber w każdym ze swych trzech wyjazdów łodzią?

STRZELANIE Z ŁUKU.

Do zawodów łuczniczych stanęło pięciu strzelców. Deska celowa była podzielona i oznaczona tak, jak to wskazuje rysunek. Zawodnicy sumowali wartości trafionych pól, a po zakończeniu strzelania stwierdzono,



że każdy ze strzelców zdobył 100 punktów drogą różnych kombinacyj trafień, między którymi nie było dwóch kombinacyj jednakowych. Jakie były te kombinacje?

To warto poznać...

NA SCENIE.

Teatr Nowy w Warszawie gra z dużem powodzeniem sztukę **Marji Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej** p. t. **„Dowód osobisty“**, nagrodzoną w ubiegłym roku na konkursie dramatycznym PAL-u.

W związku z tą premjerą Kazimierz Wierzyński pisze: „Zdaje mi się, że najistotniejszą cechą dramatopisarstwa Jasnorzewskiej jest czarujący zmysł zabawy scenicznej. Poetka czuje się najlepiej, gdy na scenie daje wyraz swemu poczuciu humoru, gdy ma na czem skupić swoją przebiegłość i bystrość obserwacyjną, gdy prowadzi pełen dowcipu dialog i rozrzuca w nim metafory i persyflaże poetyckie. Najbardziej jej do twarzy z uśmiechem raz drwiącym, raz melancholijnym, kryjącym ostre zjadliwości, delikatne szyderstwa i zwiewne mgiełki sentymentu“.



Scena z komedji „Pan Topaz“, granej przez Teatr Polski w Poznaniu.

Ale istotną cechą „Dowodu osobistego“ nie jest tylko czarujący uśmiech Jasnorzewskiej. Poruszyła w tym utworze również poważne zagadnienia społeczne, surowo dramatyczne. Wywołały one ożywioną dyskusję.

Jasnorzewska umie doskonale budować dla aktorów role i w „Dowodzie osobistym“ stworzyła takich kilka. Kapitalne kreacje dają Marja Dulęba i Mieczysława Ćwiklińska, która tym razem gra „wiedźmę zadyszaną gniewem“, „chodzącą górę złości“, starą prababkę, głuchą, rozmawiającą z drugimi przez tubę. Dobre role ponadto dają Gorczyńska, Damięcki, Kościerzanka, Ciecierski, Miedzińska i Fritsche.

Teatr Polski w Poznaniu, korzystając z gościnnych występów Marjusza Maszyńskiego, gra obecnie świetną komedję Pagnola **„Pan Topaz“**, w której dobrymi partnerami Marjusza Maszyńskiego są: Łabańska i Rosłam. Jedną ze scen komedji w wykonaniu wspomnianych tu sił, przedstawia nasza ilustracja. Poznański **Teatr Nowy** gra z niesłabnącem powodzeniem farsę „Piękna Izabella“, w której główne role odtwarzają Relewicz-Ziembińska, Dowmunt, Jaroń, Peliński, Kwiatkowska i Ślaska.

Teatr Wielki w Poznaniu sezon operetkowy zainaugurował wspaniale przez Szpingiera (dekoracje i kostjumy) i kapelmistrza Barańskiego, przygotowaną operetką Lehara **„Ewa“**. Melodyjna operetka zdobyła wielkie powodzenie również dzięki doskonałemu wykonaniu przez czołowe siły Marę Gabrielli, Jadwigę Fontanównę, Dembowskiego, Winczewskiego, Horskiego i Sendeckiego. Na tle baletu wystąpiły dwie solistki: Wanda Bończa i Zofja Grabowska.

Doskonała sztuka Wernera **„Ludzie na krze“** nie schodzi z afisza teatru **łódzkiego**, a równocześnie graną jest w teatrze **wileńskim** Na Pohulance. Sztukę przygotował reżysersko Czengery, który również gra ojca. Jego żonę gra Szpakiewiczowa, a inne role odtwarzają bardzo przekonywująco: Niedźwiecka, Masłowska, Staszewski, Surowa, Mrożewski, Rewkowski, Żmijewska, Szczawiński i inni.

„Ludzie na krze“ będą również najbliższą premjerą **krakowskiego** teatru, gdzie obecnie graną jest komedja sowieckiego pisarza Szkwarkina **„Cudze dziecko“**, przygotowana reżysersko przez J. Karbowskiego. W komedji tej, dającej obraz życia rodzinnego w Sowietach, bardzo dobrze grają: Kłońska, Fabisiak, Niedziałkowska, Macherski, Tatarski, Modzelewski i Opaliński. **(b).**



Stawa Bestani, artystka o pięknym głosie i wybitnych walorach aktorskich, która dała się poznać w Wilnie i Krakowie w kilku operetkach i komedjach, występując obecnie w Operze Warszawskiej jako odtwórczyni jednej z głównych ról w „Dzwonach Kornewilskich“.

NOWE KSIĄŻKI.

Ukazała się wreszcie tak potrzebna praca: „Przewodnik po Sanoku i Ziemi Sanockiej“, napisana przez Edmunda Słuszkiewicza, a wydana nakładem Pol. Tow. Tatrzańskiego. Książeczka ta, bogata w treść historyczną, obyczajową, monograficzną i niezbędne informacje dla turystów — niewątpliwie wzbudzi zainteresowanie rzesz młodzieży i turystów, gdyż celem jej zobrazowanie w słowach prostych i skromnych czaru i piękna ziemi sanockiej, jej skarbów przyrodzonych i wytworzonych przez długoletnią kulturę.

NA NAJLEPSZEJ FALI

NIEDZIELA — dnia 1. XI.

8.00 Audycja poranna.
9.00 Transmisja nabożeństwa z Łodzi.
10.30 Koncert (płyty).
12.03 Koncert w wykonaniu Małej Orkiestry P. R.
14.30 Nastrojowa muzyka.
15.30 Audycja dla wsi.
16.30 Muzyka.
16.45 Kwadrans poezji zaduszkowej.
17.00 Koncert symfoniczny.
19.00 „Wesele“ — Wyspiańskiego (Akt II.).
19.45 „Apel Poległych“ — transmisja z Grobu Nieznanego Żołnierza w Warszawie.
21.00 Muzyka polska.
21.45 Włoska muzyka fortepianowa.
22.15 Koncert wieczorny.

PONIEDZIAŁEK — dnia 2. XI.

6.30 Audycja poranna.
12.03 Koncert Kwintetu Stefana Rechonia.
12.10 „Matka Orkana“ — pogadanka.
15.15 Dawna muzyka wokalna (płyty).
15.55 „Wszystkiego po trochu“ — audycja dla dzieci.
16.15 „Rozmowa ze śmiercią“ — oratorjum na Dzień Zaduszny.
17.15 „Konarski i Komisja Edukacji Narodowej“ — odczyt.
17.30 Fragmenty z dzieł Ryszarda Wagnera (płyty).
18.50 „Teatr ludowy przy pracy“ — pogadanka.
19.00 „Wesele“ — Stanisława Wyspiańskiego (Akt III).
20.00 Audycja żołnierska.
20.30 Pieśni odśpiewa Marja Trąmpczyńska.
21.05 Muzyka religijna.
21.55 Recital fortepianowy Zofji Rabcewiczowej.
22.25 Utwory organowe.
23.00 Muzyka (płyty).

WTOREK — dnia 3. XI.

6.30 Audycja poranna.
11,30 Audycja dla szkół.
12.03 Opery romantyczne (płyty).
15.15 Koncert Małej Orkiestry P. R.
16.30 Koncert orkiestry Tadeusza Seredyńskiego.
17.00 „Powieść mówiona:“ „Dni powszednie państwa Kowalskich“.
17.15 Koncert solistów.
17.50 „Zainteresowania sportowe Symforjona Drucika“ — monolog.
19.00 „Dyskutujmy: „Czy praca kobiet zwiększa bezrobocie“.
19.20 „Pojedziemy na łów“ — audycja muzyczna.
20.00 „Polska na międzynarodowym Kongresie śpiewu kościelnego we Frankfurcie“ — reportaż.
20.10 II Koncert O. R. M. U. Z.-u. Transmisja z Warsz. Kons. Muz.
21.10 „Odgłosy Podhala“ — audycja muzyczna.
22.30 „Hipertrofia słowa w literaturze dzisiejszej“ — szkic lit.
22.45 Muzyka taneczna.

ŚRODA — dnia 4. XI.

6.30 Audycja poranna.
11.30 Audycja dla szkół.
12.03 Koncert południowy Małej Orkiestry P. R.
15.15 Koncert rozrywkowy (płyty).
16.10 „Zagadki muzyczne“ — audycja dla dzieci starszych.
16.30 Koncert Orkiestry Straży Więziennej.
17.00 „O podoficerach zawodowych“, odczyt.
17.15 Th. Lalliet: Trio na obój, fagot i fortepian.
17.50 „Dom Mickiewiczów w Paryżu“ pogadanka.
18.50 „O wiejskim programie radjowym“.
19.00 Kwadrans poezyj Or-Ota.
19.15 Muzyka (płyty).
21.00 Koncert chopinowski.
21.30 Siostry Burskie śpiewają piosenki.
22.00 Koncert w wyk. Wielkiej Orkiestry P. R.
23.00 Muzyka taneczna.

CZWARTEK — dnia 5. XI.

6.30 Audycja poranna.
11.30 „Poranek“ z Filh. Warsz. dla młodzieży szkół średnich.
12.03 Trio Salonowe Polskiego Radja.
12.40 „Obliczmy paszę przed zimą“, pogadanka.
15.15 Koncert.
16.20 „Przyroda w listopadzie“ — pogadanka.
16.35 Kompozycje Claude Debussy'ego (płyty).
17.00 „Młodzież w Niemczech“ — reportaż Janiny Miedzińskiej.
17.15 Tańce niemieckie w wyk. Orkiestry Adama Hermana.
17.50 „Książka i wiedzia“.
19.00 Wiązanka pieśni ludowych Śląska Cieszyńskiego.
19.30 „W jesienny wieczór“ — lekka audycja muzyczna.
20.30 „Z wędrówek po prowincji“: „Buczacz — klejnot Podola“.
21.00 IV audycja z cyklu „Sylwetki polskich kompozytorów“.
22.10 „Płyty dla znawców“.
22.25 Do tańca gra Mała Ork. P. R.

PIĄTEK — dnia 6. XI.

6.30 Audycja poranna.
11.30 „Audycja dla szkół“.
12.03 „Armand Grabbe“ i Mac Cormeck śpiewają piosenki.
15.15 Koncert w wyk. Małej Orkiestry Polskiego Radja.
16.30 Kwartet salonowy Rozgłośni Krakowskiej.
17.00 „W świątyniach Pekinu“ — feljeton.
17.15 Koncert solistów.
19.00 „Zazdrość Swanna“ — fragment powieści.
19.20 „Z pieśnią do kraju“.
20.00 „O instrumentach orkiestry symfonicznej“ — pogadanka.
20.15 Opera Karola Kurpińskiego „Leśniczy w Kozienickiej Puszczy“.
21.30 Muzyka lekka (płyty).
22.00 Koncert kameralny.
22.30 „Skupione życie puzonisty Anselma“ — skecz.
22.45 Muzyka taneczna.

SOBOTA — dnia 7. XI.

6.30 Audycja poranna.
11.30 Audycja dla szkół.
12.03 Mała Orkiestra Polskiego Radja.
14.30 Opery dla dzieci: „Czerwony Kapturek“.
15.15 Muzyka lekka.
16.15 Otwarcie Rozgłośni Wileńskiej Polskiego Radja.
17.00 Nabożeństwo z Ostrej Bramy w Wilnie.
19.00 Audycja dla Polaków z zagranicy.
19.30 Koncert z Wilna.
20.00 Polskie pieśni ludowe z Wileńszczyzny.
21.00 Koncert muzyki i fińskiej.
21.25 Lekkie piosenki (płyty).
22.00 „Kukułka wileńska“.
22.30 Muzyka taneczna.

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa“, zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych artykułów Redakcja nie zwraca

Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A. — PRINTED IN POLAND.